

405 • LISTOPAD 2024



INFORMATOR

GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI

ISSN 1505-8476



BĘDZIE LAS – W NAJNOWSZYM NUMERZE „CZERWONEGO KARŁA”

Czasami, gdy mowa o czytelniczym wyobrażeniu świata przedstawionego, przypominam sobie któreś zajęcia na pierwszym roku polonistyki. Były to chyba ćwiczenia z poetyki. Wtedy analizowaliśmy wyniki interesującego eksperymentu. Grupce badanych osób dano bowiem do przeczytania tekst sztuki-jednoaktówki. Zaraz po tej lekturze każdy z uczestników miał (już indywidualnie) opisać las, w którym toczyła się akcja przeczytanego dramatu. I te opisy okazały się najrozmaitsze: jedni opisywali gęstą i mroczną puszcę, drudzy – rozświetlony słońcem brzozywy zagajnik. Zajrzano więc do źródła. A tam, na samym początku tekstu, widniało w didaskaliach: *Był las. I to wszystko. Resztę dopowiedziała odbiorcom ich wyobraźnia...*

Ciekawe, jak zadziała – przy zadanym temacie lasu – fantazja autorek i autorów przysyłających swe propozycje do giekaefowskiego „Czerwonego Karła”? Jako że najnowszy numer naszego magazynu literacko-graficznego redaktorzy poświęcają lasowi właśnie.

Karolina Kaczowska i Grzegorz Szczepaniak czekają więc na Wasze nowelki, wiersze, eseje, komiksy, grafiki i inne formy artystycznej wypowiedzi. Konwencja tych utworów to oczywiście wszelkie rodzaje fantastyki – ze szczególnym uwzględnieniem najbardziej nas interesujących: science fiction, fantasy, horroru.

Ów „las” może być nader urozmaicony. Może to być młodniak lub interior. Wrogi lub życzliwy. Realistyczny lub fantastyczny. Na naszej lub na obcej planecie. Może to być nawet las rąk lub krzyży (ale już raczej nie Las Vegas). Może to być wręcz *silva rerum*. Ale ten las musi pełnić zasadniczą rolę w danym utworze! Może być głównym bohaterem albo bardzo istotnym tłem. Sama wzmianka, że „był las”, czy fabuła, która równie dobrze mogłaby rozgrywać się w innej (całkowicie dowolnej) scenerii – nie wystarczą: tego typu utwory po prostu nie znajdą się w „leśnym” numerze „Karzełka”. Co zaś do pozostałych – redaktorzy nie dają gwarancji, że każdy otrzymany materiał na pewno pojawi się w „Czerwonym Karle” #29; jednak ocena i selekcja będą nie tylko merytoryczne, ale również życzliwe.

Podaję namiary na skrzynkę mailową redakcji (czerwony.karzel@gkf.org.pl); a termin nadsyłania tych prac nie jest nagły (czasy, gdy udawało nam się składać „Karzełka” w miarę regularnie, minęły już raczej bezpowrotnie...). Ja, jako dość luźny współpracownik tamtej redakcji, życzę wszystkim zainteresowanym po prostu napływu weny!

Jeszcze uwaga czysto techniczna do potencjalnych grafików: starajcie się przysyłać swoje prace nie z rozszerzeniem .jpg – ale z rozszerzeniem .png (pliki graficzne są wtedy lepszej jakości technicznej, co może okazać się istotne podczas wydruku).

JPP

P.S.

I jeszcze jedna ważna uwaga: nowa współpracowniczka „Informatora GKF”, Magdalena Świerczek-Gryboś, zaproponowała rozpisanie konkursu na short SF/F/H. Celem tej inicjatywy jest zarówno urozmaicenie poczty literackiej w „Informatorze”, jak też dotarcie „Informatora” do nowych odbiorców. Gotowy regulamin tego konkursu znajdziecie wewnątrz listopadowca. Niech zatem nie pomylą się Wam obie te inicjatywy: nabór do „Karzełka” i konkurs do „Informatora”... Dodam, że jakieś inne teksty (nawet potencjalnie obszerniejsze!) autorów zainteresowanych nie tylko konkursem – jak najbardziej mogą trafić do numeru o lesie.

jpp

INFORMATOR

GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI



#405 • LISTOPAD 2024

UKAZUJE SIĘ OD 1987 ROKU

FANDOM

Protokół z Posiedzenia Zarządu GKF

Serwis klubowy

Adam Cetnerowski

Bez tytułu 2

#Nie tylko barbarzyńcy – Monika Czyżowicz

INFORMACJE

Janusz Piszczek

Zapowiedzi wydawnicze

Artur Łukasiewicz

Filmowisko

Niusy

LITERATURA

Andrzej Prószyński

W pętli czasu zimowego

PUBLICYSTYKA

Krzysztof Szkurlatowski

Maszyny Kubricka – i nie tylko

Grzegorz Szczepaniak

Okruchy Ogana. Korespondencja 156

Karol Ginter

Nadal tak trzymać

Michał Bleja

Zuzanna idzie na Miasto

Artur Łukasiewicz

Ni pies, ni wydra...

Tomasz Magulski

Szarak na gigancie

Heros na emeryturze

Andrzej Prószyński

Półka z DVD

KOMIKS

Jan Plata-Przechlewski

Antropofobia

GDAŃSKI KLUB FANTASTYKI

ADRES:

80-389 GDAŃSK

UL. ŚLĄSKA 66B

STRONA: GKF.ORG.PL

FACEBOOK: GKF.ORG.PL/FB

DISCORD: GKF.ORG.PL/DISCORD

KONTO BANKOWE:

VOLKSWAGEN BANK

42 21 30 0004 2001 0671 8241 0001

KRS: 0000098018

„INFORMATOR GKF”

ISSN 1505-8476

WYDAWNICTWO BEZPŁATNE

NAKŁAD 120

REDAKCJA:

JAN PLATA-PRZECHELEWSKI

GRZEGORZ SZCZEPANIAK

MARCIN SZKLARSKI

MICHAŁ SZKLARSKI

JAROSŁAW S. KOŚCIOREK (YARKOS)

ARTUR ŁUKASIEWICZ

STAŁA WSPÓŁPRACA:

ADAM CETNEROWSKI

JANUSZ PISZCZEK

ANDRZEJ PRÓSZYŃSKI

TOMASZ MAGULSKI

ALEKSANDRA MAŁAJ

ADAM MATEJA

DAMIAN FILIPKOWSKI

ALEKSANDRA MARKOWSKA

MICHAŁ BLEJA

E-MAIL:

INFORMATOR@GKF.ORG.PL

OKŁADKA:

JAROSŁAW JAŚNIKOWSKI

WIATROTERRALOTY

DRUK:

PRINT GROUP SP. Z O.O.

HTTP://PRINTGROUP.PL

PROTOKÓŁ Z POSIEDZENIA ZARZĄDU GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI

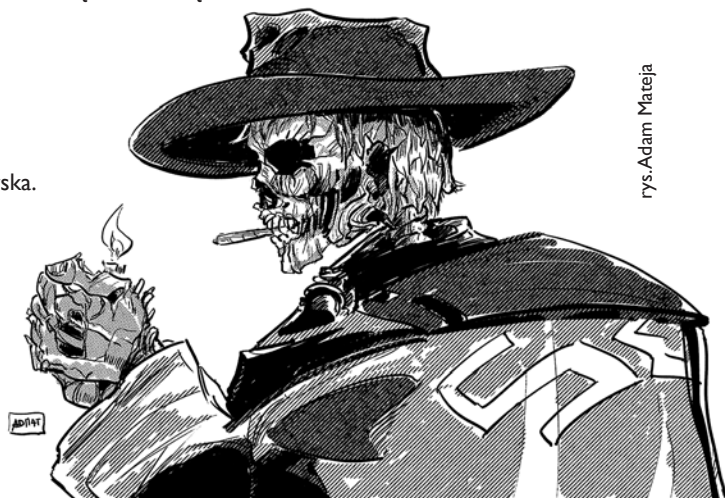
19 LISTOPADA 2024 R.

I. Sprawy organizacyjne

1. Zarząd zatwierdził listę zakupów wyposażenia do klubu.
2. Zatwierdzenie zakupu ekranu i projektora z przedłużoną gwarancją i ubezpieczeniem.
3. Został przyjęty nowy wymiar składek na 2025 i 2026 rok:
 - 2025:
 - a. Grupa wiekowa do 18 lat (Gw1) roczna 120 zł;
 - b. Grupa wiekowa od 18 do 25 lat (Gw2) roczna 180 zł;
 - c. Grupa wiekowa powyżej 25 lat (Gw3) roczna 240 zł.
 - 2026:
 - a. Grupa wiekowa do 18 lat (Gw1) roczna 160 zł;
 - b. Grupa wiekowa od 18 do 25 lat (Gw2) roczna 240 zł;
 - c. Grupa wiekowa powyżej 25 lat (Gw3) roczna 300 zł.
 - Klub Członków Korespondentów (KCzK) – składka roczna 100 zł.
 - Rezygnacja ze składek kwartalnych.
 - Utrzymana zostaje ulga w składkach dla nowych członków: w pierwszym roku członkostwa obowiązuje połowa składki.
 - Wpisowe – 20 zł.
4. Termin Wigilii Klubowej zostaje ustalony na dzień 14 grudnia godz. 17:00.
5. Przyjęcie rezygnacji Huberta Kozija z funkcji szefa Działu Bibliotecznego; pełniący funkcję tymczasowo: Maciek Dawidowicz.
6. Zarząd powołuje nową funkcję kwatermistrza – funkcję tą będzie pełnił Maciek Dawidowicz.
7. Dostęp do klubu – zostały ustalone zasady otrzymania oraz został stworzony regulamin korzystania z lokalu.
8. Zarząd zatwierdził dokument Standardy ochrony małoletnich oraz wyznaczył osobę do kontaktu w tej sprawie: Martę Witkowską.

II. Sprawy personalne

1. Nowi członkowie:
 - Jan Krasowski;
 - Sebastian Sztoba.
2. Skreślenia:
 - Katarzyna Borowska.



rys. Adam Mateja

SERWIS KLUBOWY

IMPREZY KLUBOWE LISTOPADOWO-GRUDNIOWE

1. **23 listopada**, w godz. 12:00–18:00, **Planszówkarium** – standardowo spotkanie jest otwarte, można przyprowadzić znajomych i rodzinę :)
2. **29 listopada**, godz. 18:00 – pierwsze, wstępne spotkanie **Dyskusyjnego Klubu Książki**; organizatorką jest Asia Rozenfeld, a książka wybrana na pierwsze spotkanie to *Dynia i jemiola. Nietypowe historie świąteczne* Anety Jadowskiej (<https://lubimyczytac.pl/ksiazka/4863017/dynia-i-jemiola-nietypowe-historie-swiateczne>). Rozmowa o książce, propozycje uczestników w kwestii kolejnej pozycji do przeczytania.
3. **29 listopada**, godz. 19:00 – **WFRP Essen**, RPG w konwencji „Open Gaming Table” (czyli można dołączyć w każdym momencie); organizacja i zapisy – oczywiście Ceti.
4. **Od 3 do 8 grudnia** – wyczekiwany przez wszystkich **Nordcon** w Jastrzębiej Górze (w związku z tym 4 grudnia nie odbędzie się śródkowe spotkanie klubowe!).
5. **14 grudnia**, godz. 17:00, Dom Kultury (na piętrze) – **Wigilia Klubowa** (poprzedzona wewnętrznym **Planszówkarium** dla chętnych Klubowiczów od godz. 12:00).

Ola Markowska
Prezes GKF

GRY PRZED ŚWIĘTAMI

Biblioteczka klubowa miała okazję poszerzyć się o szereg pozycji – z różnych powodów, ale w samą porę przed Planszówkarium listopadowym oraz grudniowym Nordconem.

Od naszych przyjaciół z Wydawnictwa Rebel otrzymaliśmy trzy pozycje:

- *Władca Pierścieni: Pojedynek o Śródziemie* to reinterpretacja popularnego *7 Cudów: Pojedynek*. Używając podobnych zasad, przeżyjemy wydarzenia z Trylogii mistrza Tolkiena.
- *Apiary* to zadziwiający hit, w którym wcielimy się w roje pszczoł kolonizujące kosmos. Średniej wagi euro zadowoli wytrawnych graczy.
- *Złota Rzeka* to lżejsze euro o handlu w feudalnej Japonii na pięknej planszy.

Dzięki naszym Patronom Nordconowym wzbogaciliśmy się o dwie pozycje:

- *Too Many Bones* to fabularna gra planszowa, gdzie grupa bohaterów wyrusza po przygodę, by zebrać siły i stawić czoło potworowi zagrażającemu ich wiosce.
- *Stationfall* to chaotyczna gra o spisku na spadającej stacji kosmicznej. Czy w 15 minut wykonamy tajne zadanie? Wygląda jak krzyżówka *Colt Express* i *Nemesis*.

A na Mikołajki przewidziano dostawę *Nexus Ops*. Nowa edycja szybkiej gry typu „Area Control” na odległej planecie.

Ceti

TYLKO PODATKI POZOSTAJĄ NIEZMIENNE!

Chociaż w początkach nadchodzącego roku Fiskus wyciskać nas będzie jak sok z żuka – można przeznaczyć 1,5% naszego podatku na dalszą działalność GKF-u w jego aktualnej siedzibie...

Potencjalnym dawnym i nowym, ale zawsze miłym naszemu sercu, Donatorom przypominamy poniżej nr KRS: Gdański Klub Fantastyki (Organizacja Pożytku Publicznego) – KRS: 0000098018

Zarząd GKF i redakcja INFO

ZMIANA W SKŁADZIE REDAKCJI „INFORMATORA”

Od przyszłego numeru członkiem redakcji „Informatora Gdańskiego Klubu Fantastyki” przestanie być nasz dobry kolega Michał Szklarski. Liczne obowiązki klubowe, zawodowe i rodzinne uniemożliwiają mu dalszą realną współpracę z giekaefowskim miesięcznikiem.

Michale! Bardzo dziękujemy Ci za te wszystkie lata, za Twoje uczestnictwo w kolegiach redakcyjnych, za wkład wniesiony przez Ciebie do poszczególnych numerów zinu, za Twoją życzliwość i obecność po prostu... Mamy też nadzieję, że – pozostając przecież członkiem GKF-u – od czasu do czasu zagościsz na jakimś naszym spotkaniu (zwł. w maju i w czerwcu).

Za to bez trudu namówiliśmy innego Michała – Michała Bleję – by swój status poszerzył ze stałego recenzenta książkowego na stałego członka ścisłej redakcji „Informatora GKF”.

Witamy Cię więc, Michale, w redakcyjnym gronie! Stan liczebny (a nawet „imienny”) pozostanie bez zmian – a nam bardzo przyda się Twoja częsta obecność i bliższa współpraca...

Redakcja INFO



rys. Piotr Dziewanowski (Kalmar)

ADAM CETNEROWSKI BEZ TYTUŁU (2)

Wsumie to chciałem podziękować Oganowi i Januszowi za poświęcenie czasu i napisanie polemiki. Jeżeli chodzi o Anatomie, to oczywiście zaufam wiedzy ekspertów. Wierzę jednak, że każdy rzucony pomysł może zakiełkować i wyrosnąć w fajną roślinę – niekoniecznie w kształcie wyobrażonym przez pierwotnego pomysłodawcę. I jeszcze jedno: czasami cytuję to po prostu zabawny cytat. Nie trzeba szukać drugiego dna.

**

Trzy gwiazdki przeżyły!

**

Jak ktoś jeszcze nie był w nowej siedzibie – to teraz łatwiej ją znaleźć za pomocą pięknego, drewnianego szyldu autorstwa Maćka.

**

Podobnie, jeśli ktoś szuka, jak może pomóc w siedzibie lub GKF-owi albo co jest zaplanowane – może spojrzeć na Quest Boarda.

**

A z cyklu „To już było” – mieliśmy w dwa kolejne weekendy (zbieg okoliczności) Nocki GKF. Listopadową w klimacie Halloween (oczywiście) sponsorowały Kobiety GKF. Dekoracje i jedzenie były tak znakomite, że żał było wychodzić. A w ramach dbania o żywotność



Klubu – popołudniem odbyła się impreza halloweenowa dla dzieci. Dzieci chyba dobrze się bawiły. Ja nie jestem pewien, bo z innymi rodzicami też się dobrze bawiłem w sali obok.

**

Ostatnia Nocka zapewne wydarzy się jako kontynuacja tradycyjnej Wigilii klubowej, która wystartuje w gościnnych salach Domu Kultury, a ten nie ma w nazwie „Kolejarz”. Obawy, że w GKF-ie nie ma sił na comiesięczną nockę okazały się płonne. Myślę, że jest to możliwe z dwóch powodów – formuła każdej Nocki jest inna oraz nie ma spinki, żeby coś wielkiego zorganizować.

**

Następny tekst pewnie napiszę już po Nordconie. Gdzie mam nadzieję zobaczyć Was! ■

KONKURS LITERACKI NA SHORT DO „INFORMATORA GKF”

Niniejszym serdecznie zapraszamy do wzięcia udziału w konkursie na short literacki do rubryki „Pocztą literacką” w klubowym miesięczniku „Informator GKF”.

Zachęcamy Was do napisania i przysłania krótkiego utworu prozatorskiego utrzymanego w konwencji science fiction, fantasy, horror lub szeroko pojętej fantastyki, który zostanie opublikowany w jednym z numerów „Informatora”.

Wymogi techniczne:

- czcionka Times New Roman
- wielkość czcionki 12 pkt
- odległość między wersami 1,0
- objętość od 0,5 strony do 3 stron
- format Microsoft Word doc lub docx



Tekst należy podpisać imieniem i nazwiskiem bądź pseudonimem. Dopuszczalne są utwory pisane w duetach. Nadsyłając tekst na konkurs, uczestnicy zgadzają się na publikację utworu pod podanym nazwiskiem bądź pseudonimem.

Jako działająca społecznie redakcja amatorskiego zinu nie zapewniamy honorariów. Oferujemy opublikowanie nagrodzonych utworów, wraz z ilustracją jednego z naszych redakcyjnych grafików, w jednym z przyszłorocznych numerów „Informatora” oraz trzy egzemplarze autorskie.

„Informator GKF” ukazuje się bezpłatnie od 1987 roku. Można go czytać w formacie PDF na klubowej stronie www.gkf.org.pl oraz w druku (format A5, barwna zewnętrzna strona okładki); egzemplarze trafiają do naszych członków-korespondentów, a także do zaprzyjaźnionych pisarzy, krytyków i instytucji kultury na Pomorzu i w głębi Polski.

Termin nadsyłania prac w formacie wordowskim (koniecznie należy zatytułować maila „konkurs na short”) – do końca I kwartału 2025 roku na adres redakcja_info@wp.pl W kwietniu konkurs zostanie rozstrzygnięty. Jury – redakcja „Informatora” – oceni teksty, zwracając uwagę na cechy gatunku, styl, oryginalność i język. Wyniki podane będą na stronie GKF-u.

Tekst, który uzyska I miejsce, zostanie opublikowany w numerze majowym „Informatora”; natomiast zdobywcy II i III miejsca oraz wyróżnień będą sukcesywnie drukowani w kolejnych numerach naszego zinu (być może naprzemiennie z innymi, pozakonkursowymi, autorami-korespondentami). Zastrzegamy sobie prawo do drobnych zabiegów redakcyjnych.

Wszelkie pytania można nadsyłać pod wspomniany e-adres redakcji „Informatora”.

Zachęcamy do liczного udziału oraz życzymy Wam weny twórczej!

Z fantastycznym pozdrowieniem –
Redakcja „Informatora GKF”

#NIE TYLKO BARBARZYŃCY – MONIKA „AURAYA” CZYŻOWICZ

Możesz powiedzieć kilka słów o sobie?

Mój introwertyzm zawsze podnosi z zaciekawieniem łebek, gdy słyszy takie pytanie. Nie lubię „mówić o sobie” – bo nigdy nie wiem, co powiedzieć, co może być interesujące dla osoby, która czyta lub słucha. Jestem introwertyczką, która ma ekstrawertyczne hobby, a jednocześnie uwielbia spędzać czas w domowym zaciszu, sam na sam z książką czy kredkami. Miałam marzenie, żeby zostać architektem, ale studia architektoniczne zdecydowanie je zweryfikowały. Ta życiowa pomyłka pozostawiła jednak sporo plusów: pasję do urządzania wnętrz czy zdolności kreatywno-manualne. Kocham psy i konie, seriale psychologiczne, kryminalne, sensacyjne i o seryjnych mordercach. Kiedy rodzice wybudowali dom na wsi – odkryłam w sobie pasję do ogrodnictwa i od tej pory odstresowuję się, kopiąc, pieląc i sadząc. Od ponad czterech lat jestem pełnoetatową mamą, a zawodowo zajmuję się ubezpieczeniami, prowadząc wraz z tatą rodzinną firmę.

Jakich pisarzy sci-fi/fantasy cenisz?

Moją największą inspiracją jest Maja Lidia Kossakowska. To, w jaki sposób operowała słowem i spletała wątki w swoich historiach sprawiało, że wracałam do czytania tych samych książek po kilka razy. Uwielbiam też Stephena Kinga, jeśli można go zaliczyć do kategorii fantasy... Jest dla mnie mistrzem grozy zawierającej elementy nadprzyrodzone, które najpierw subtelnie, a w pewnym momencie uderzają między oczy i pozostawiają czytelnika z wielkim znakiem zapytania nad głową i takim uczuciem „kurde! jakie to jest dobre!”.



Monika „Auraya” Czyżowicz

Jak się zaczęła Twoja przygoda z fantastyką i grammi fabularnymi?

Ziarno miłości do fantastyki zaszczerpiła mi mama, podsuwając pod nos *Opowieści z Narnii*. Pokochałam tę książkę już jako dzieciak – i to właśnie dzięki *Narnii* zrozumiałam, że istnieją pozycje opisujące rzeczy totalnie fantastyczne. Nie – znane nam wszystkim – bajki czy legendy, ale historie nie z tego świata, zbudowane wyobraźnią ich twórców. Zaraz po *Narnii* pojawił się *Hobbit* i *Władca Pierścieni*, a potem to już było z górki. Zawsze kochałam czytać. Połykałam książki jedna po drugiej z wielu różnych gatunków, ale zawsze wracałam do fantastyki. Będąc na studiach, poznałam ludzi z bractwa rycerskiego i ogarnęłam, co to jest odtwórstwo. Przez wiele miesięcy słyszałam od tej grupy, że spotykają się na sesję i byłam przekonana, że

wszyscy studiują razem i razem mają egzaminy. W międzyczasie w moje ręce trafiła *Trylogia Czarnego Maga* Trudi Canavan, a po niej *Era Pięcioroga*, której jedną z bohaterek jest właśnie czarodziejka Auraya – jedyna postać, która odważyła się poznać mały, skrzydlaty ludek, a finalnie bardzo z nim zaprzyjaźniła. I właśnie w czasach tej fascynacji mój chłopak namówił mnie, żebym poszła z nim na ową tajemniczą sesję. Wyobraź sobie moją minę, gdy się okazało, że dorośli ludzie siedzą przy stole, udają magów czy wojowników, rzucają kostkami i wrzeszczą z radości przy każdej udanej akcji! A potem mistrz gry mi powiedział, że można się wcielić w małego, latającego elfa. Wtedy przepadłam! Wkopałam mój introwertyzm w najczarniejszy kąt serduszka i zostałam wietrznikiem. To był początek mojej przygody z RPG-ami. Lata później, kiedy moje życie przewróciło się do góry nogami, odkryłam, że istnieje fandom, konwenty, że można grać w moje ukochane RPG-i także on-line i że tuż za progiem mojego nowego/starego domu (bo niespełna czterdzieści kilometrów od niego) istnieje stowarzyszenie miłośników fantastyki i gier fabularnych, którego ulubionym systemem jest właśnie Earthdawn. Ta droga doprowadziła mnie do punktu, w którym jestem teraz.

Co byś uznała za swoje największe osiągnięcie?

Trudne pytanie, bo takie „osiągnięcia” pojawiały się na różnych etapach mojego życia, niekoniecznie związane z fantastyką, więc ciężko wybrać to największe. Myślę, że takie kamienie milowe były trzy. Pierwszym było wydanie książki. I choć z perspektywy czasu wiem, że nie wyszło to najlepiej – to wzruszenie, kiedy trzymałam ją w rękach, było nie do porównania z niczym innym. Materializacja tego marzenia pokazała mi, że warto dążyć do celu, nie poddawać się, bo w końcu się uda. Drugim osiągnięciem jest

obecność mojego nazwiska tuż obok nazwiska Jeffa Laubensteina, jednego z najznakomitszych grafików, ilustrujących Earthdawn od początku jego powstania. To było niesamowicie nobilitujące doświadczenie – zobaczyć siebie jako grafika tuż obok legendy tego systemu. I chyba nie zdziwi cię, że ostatni ze znaczących sukcesów także wiąże się z Earthdawnem: odkąd poznałam ten system – marzyłam o tym, że kiedyś moje nazwisko pojawi się w jego polskiej edycji. To pragnienie było we mnie przez lata i wreszcie je także spełniłam.

Co Ci sprawia największą radość w tym, co robisz?

Dzielenie się swoją pasją. Lubię spotykać podobnie zakręconych ludzi i dzielić się z nimi swoimi doświadczeniami. Sprawia mi radość patrzeć, jak poznają moje hobby, jak je realizują; a już najfajniej jest, jak zgadujesz się z kimś, kogo przelotnie znasz, że też lubi to, co ty, tylko jakoś nigdy wcześniej to nie wypłynęło.

Czy udzielasz się w fandomie albo udzielałaś?

Swego czasu byłam dość aktywna w fandomie. Jeździłam na konwenty z programem, prowadziłam sesje (także on-line), a nawet sędziowałam w PMM-ie. Tworzyłam też konwenty, takie jak Orichalcum, Cytadela i Twierdza. Po dołączeniu do Toporów zaczęłam też intensywnie działać lokalnie, tworząc małe eventy planszówkowe i RPG-owe. Potem pojawiła się moja córeczka i robienie czegokolwiek poza macierzyństwem stało się niezwykle trudne do realizacji, musiałam więc trochę zwolnić. Teraz córa odrosła na tyle, że chętnie uczestniczy w eventach i konwentach i z pełnym zaangażowaniem grywa w planszówki, więc powoli wracamy do aktywnego uczestnictwa w aktywnościach fandomowych.

Jak zmienia się rola kobiet w świecie gier fabularnych?

Szczerze powiem, że nie wiem, czy się zmieniła. W momencie, kiedy ja dołączyłam do fandomu, kobiety były w nim bardzo widoczne. Wciąż spotykałam graczy lub mistrzynie gry. Widziałam je jako twórczynie programu na konwentach oraz aktywnie komentujące tematy fandomowe w internecie. Więc dla mnie gry fabularne od zawsze były wypełnione kobietami. Nawet moja pierwsza drużyna RPG-owa składała się z kilku par. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że były lata, kiedy nie wyglądało to tak kobieco; lecz osobiście nigdy nie doświadczyłam żadnych przejawów dyskryminacji fandomowej ze strony mężczyzn z tego powodu, że jestem kobietą.

Jakie kobiety są dla Ciebie inspiracją?

Szerzej nieznane bohaterki, które przewijały się w moim życiu od narodzin. Moja babcia, która przeżyła niemiecki obóz pracy, wróciła do domu w jednym bucie i z małą torbą rzeczy osobistych i nigdy się nie skarżyła na swoje życie, mimo że dało jej nieźle w kość. Jej przyjaciółka, która nie mniej wycierpiała, a mimo to pozostała uśmiechnięta, ciepła i kochająca i zawsze miała dla mnie dobre słowo w najczarniejszej godzinie. Czy też daleka ciotka, która mimo silnej deformacji ciała spowodowanej wypadkiem podczas wojny, zdobyła stopień naukowy i uważała, że nie ma rzeczy niemożliwych. Wszystkie stanowiły niesamowity wzór kobiecej siły i determinacji, pokazując światu, że nie jest ważne, jak źle jest w danej chwili – wkrótce słońce znów rozbłyśnie i troski pójdą w zapomnienie.

Na jakie problemy trafiasz, promując swoje hobby?

Myślę, że na dość typowe dla każdego rodzaju działalności hobbystycznej, czyli „moja racja

jest najmniejsza”. Często spotykam się z ocenianiem drugiego człowieka przez pryzmat przekonań rozmówcy. Takie wiesz: „o nie! wyszywasz krzyżykami od prawej do lewej, a jedyna słuszna technika to od lewej do prawej!!!!”. Byłam ostatnio świadkiem ciekawej sytuacji w grupie ogrodowej. Pani wrzuciła zdjęcie swojej jabłonki, która postanowiła wydać owoce teraz, w październiku, jako ciekawostkę szaleństw pogodowych. Post miał ponad 60 komentarzy; z czego, nie przesadzam, 85% to były komentarze oznajmiające, że to pigwa, a nie jabłonka. Dodam, że kobieta ma ogród od 40 lat – i jedną, jedyną papierówkę. I nie pomagały tłumaczenia, że nie posiada pigwy, a jabłkami z pierwszego rzutu tej jabłonki obdzieliła pół rodziny. Nie. Internetowi „ekspertcy” wiedzieli lepiej. I to jest w sumie najpoważniejszy problem, jaki napotykam czasem w fandomie. „Źle prowadzisz, źle grasz, zły klimat i jak możesz lubić system XYZ????!! On jest taki zły!!!!”. Bardzo bym chciała, żeby ludzie potrafili się pięknie różnić. Żeby dopuszczali do siebie myśl, że każdy może swoje hobby rozumieć i praktykować na swój sposób – i to nie jest lepszy ani gorszy sposób, jest po prostu inny.

Czy możesz opowiedzieć o działalności Stowarzyszenia Topory?

W skrócie jesteśmy stowarzyszeniem, które propaguje fantastykę i gry fabularne wśród dzieci i młodzieży, ale potrafimy zarazić swą pasją także dorosłych i osoby starsze. Misją Toporów było odciąganie dzieci od ekranów i pokazywanie im, że są gry bez prądu, które potrafią być mega wciągające i ciekawe. Przez lata ta misja rozrastała się o kolejne elementy szeroko pojętej kultury. Do gry w RPG-i dołączały festiwale piosenki żeglarskiej, brydż czy koncerty poezji śpiewanej połączone z wystawą prac lokalnych artystów. Topory szybko się

rozrastają i zaczynają być widoczne nie tylko lokalnie, ale już w całej Polsce. Powstają nowe oddziały, tworzymy eventy, konwenty, pomagamy w organizacji konwentów, bierzemy udział w wielu akcjach charytatywnych. Słowem – jesteśmy wszędzie tam, gdzie możemy się dzielić naszymi pasjami z ludźmi.

Ulubiony konwent, festiwal, comicon, targi może, które wspominałaś wcześniej. I dlaczego akurat ten?

Dwa. Twierdza, i nie dlatego, że ją tworzyłam, oraz Copernicon. Twierdza była wyjątkowa. Ogromny zielony teren, zabytkowe budynki, które stanowiły niesamowite tło dla programu, wioska tolkienowska otulona o świcie mgłą, która zawsze pojawiała się w dolinie pośrodku terenu oraz ta niezwykle rodzinna atmosfera samego festiwalu. Kocham to miejsce, klimat – i to, jak silne emocje wywołują wspomnienia z tamtego czasu. Copernicon to z kolei konwent z zupełnie innego bieguna. Toruńska (uroczą!) starówka przyciąga mnie co rok. Uwielbiam to wędrowanie pomiędzy budynkami, w których odbywa się program i śniadania w Manekinie; że nie wspomnę

o namiotach z wystawcami, gdzie bardzo płacze mój portfel. Na Coperniconie odbywał się PMM, na którym sędziowałam – i te trzy doby bez snu wspominam z rozrzewnieniem.

Czemu Earthdawn?

Był to pierwszy system, w który zagrałam oraz pierwszy, który poprowadziłam. Przez kilka lat nie zdawałam sobie nawet sprawy, że RPG-ów jest zatrzęsienie, bo miałam stałą drużynę, graliśmy regularnie i nic więcej mi do szczęścia nie było potrzebne. Pisałam relacje z sesji i publikowałam je na forum ED, tworzyłam swoje karty postaci i wciąż kombinowałam, jak udoskonalić swoją postać, jak ją rozwinąć. Earthdawn daje niemal nieskończoną ilość możliwości tworzenia przygód i klimatu. Od komedii po horror, od przygód w stylu Indiany Jonesa po dworskie intrygi, od high fantasy z latającymi wokół fireballami po detektywistyczne, spokojne śledztwa. System pozwala poruszać poważne, głębokie tematy albo bawić się lekko i przyjemnie. Można go wykorzystać na tak wiele sposobów, że zawsze do niego wracam. Równie przyjemnie mi się w niego gra, jak też go prowadzi. I choć na



listę mych ulubionych RPG-ów trafiło od tego czasu kilka innych systemów, to do ED zawsze wracam i wciąż budzi we mnie nostalgię.

Cieężko się robi konwenty, gdzie łączone są elementy RPG-ów i LARP-ów jako jedna całość?

Nie wydaje mi się, żeby takie połączenie jakoś szczególnie wpływało na trudność tworzenia konwentu. Wszak RPG-i i LARP-y to, można rzec, pokrewne dusze. Oczywiście zdarzały nam się ciekawe sytuacje, jak na przykład prośba o dziesięć litrów kisielu na „za pół godziny”, ale na każdym konwencie są koordynatorzy poszczególnych jego elementów, więc połączenie tego w całość nie jest dużo trudniejsze niż połączenie innych bloków programowych w jedną, działającą całość.

Jak godzisz wszystko – działalność, rozwój hobby – z bombelkiem na jednej ręce?

Niełatwo. Początki macierzyństwa okazały się nie być instagramową przygodą, więc z wielu rzeczy musiałam zrezygnować. Na ponad dwa lata niemal całkowicie wycofałam się z życia konwentowego. Oczywiście bywaliśmy na konwentach i eventach, ale nie robiłam na nich żadnego programu. Dopiero kiedy córka nieco podrosła – powoli zaczęłam wracać do większej aktywności; choć wciąż nie jest to natężenie sprzed pojawienia się dziecka. Na szczęście oboje z Sebastianem dzielimy swoją pasję, więc gdy jedno chce prowadzić jakiś program, drugie ogarnia córę. Dzięki temu w tym roku zrobiliśmy kilka mniejszych eventów i zaczęliśmy intensywnie rozkręcać działalność lokalną. Poza tym córka swój pierwszy konwent zaliczyła w wieku czterech miesięcy, więc niejako wyssała to życie z mlekiem mamy. Teraz się cieszy, jak słyszy, że jedziemy na konwent – zatem będzie już tylko łatwiej.

Cytadela i Twierdza? Ciężko było pożegnać się z tymi dużymi konwentami?

O Boże! Tak! Kiedy Doris oznajmiła nam, że nie jest już w stanie tworzyć tych konwentowych siostr, niejedna łza popłynęła. Pierwszy rok bez Cytadeli i Twierdzy był strasznie pusty i smutny. Do dziś wspominamy je czasem, spotykamy się z ludźmi, z którymi nad nimi pracowaliśmy – i w każdym z nas jest taka iskierka nadziei, że może kiedyś... Niby wiemy, że nie wróćą; ale gdyby nastąpił cud, to każda osoba z ekipy ruszyłaby z miejsca do pracy.

Widziałam Cię, jak pracowałaś z Sebastianem nad mapami do sesji. Tyle pasji, tyle logiki, tyle zawziętości było w Was obydwójgu... Do każdego projektu wchodzicie z taką energią?

Zdecydowanie tak! Musi być ta iskierka pasji, żeby robić coś, co się kocha – inaczej jest to orka na ugorze. Zresztą oboje mamy taką cechę, że gdy zaczynamy mówić o naszym hobby lub robić jakiś program, to odpalają nam się wewnętrzne pokłady energii – i cały prozaiczny, świat wokół przestaje istnieć. ■

#Nie tylko barbarzyńcy – to cykl wywiadów przedstawiający sylwetki kobiet działających w szeroko rozumianej fantastyce i promujących ją.

Rozmowy przeprowadzają:

Jaśmina „Dzas” Kotlarek – organizatorka konwentów oraz eventów, larpowiec, rpgowiec, komiksarz, improwizatorka. Zdobywczyni nagród za kreacje postaci larpowych. Założycielka pierwszej Trójmiejskiej Inicjatywy Mangowej, działaczka na rzecz NGO w Trójmieście, pracowała na rzecz trójmiejskich projektów muralowych.

Tomasz „Kruszon” Stępiński – rocznik '86, współtwórca Klubu Miłośników Fantastyki „Sagitta”. Animator życia kulturalnego, dziennikarz popkulturowy, regionalista, badacz nowych mediów, miłośnik fantastyki, filmów i komiksów. Prowadzi blog steamalmanac.pl oraz dziejograf.pl

KRZYSZTOF SZKURŁATOWSKI

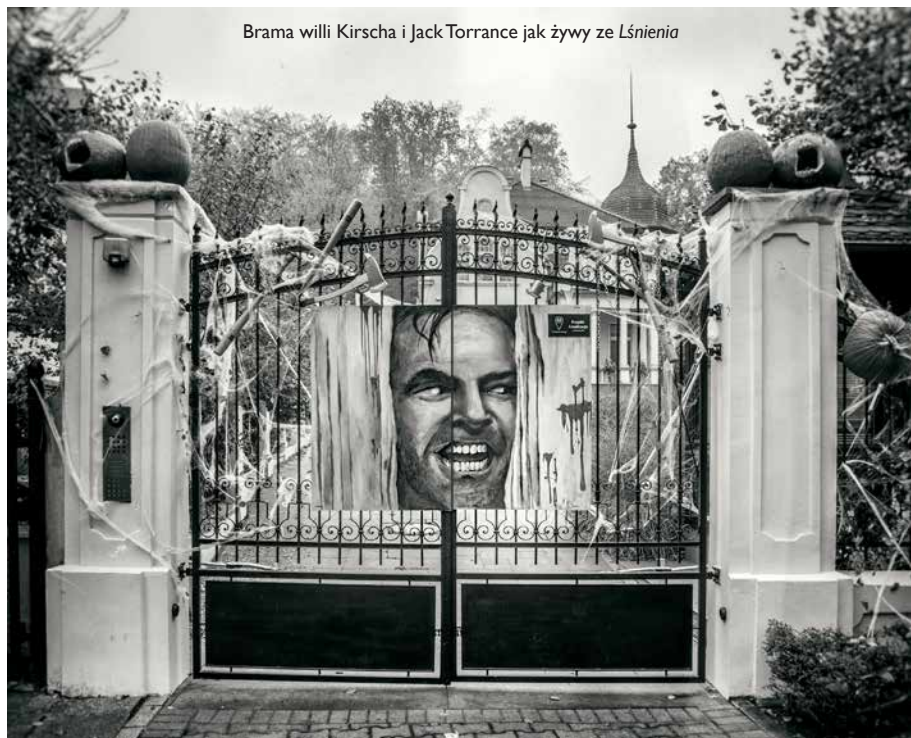
MASZYNY KUBRICKA – I NIE TYLKO

W bardzo bliskim horyzoncie czasowym majaczył Halloween. Mam na ten jesienny czas taką swoją świecką tradycję, że prócz cmentarzy odwiedzam w dniu Wszystkich Świętych i w Zaduszki nie tylko cmentarze, ale też... ulicę Jaśkowa Dolina w Gdańsku-Wrzeszczu. W to ostatnie miejsce przyciąga mnie od kilku lat willa Kirscha z początku XX wieku, a dokładniej – współczesne hallooweenowe aranżacje przy tej posesji. Właścicielom nie brakuje fantazji, więc (prócz standardowych zębatach dyń, krwawych śladów, kościotrupów i pajęczyn porozwlekanych na ogrodzeniu i krzewach) co roku pojawia się jakiś motyw przewodni związany z co straszniejszymi dziełami popkultury. W minionych latach był już m.in. *Koszmar z ulicy Wiązów*, było Kingowskie *To*, był *The Ring* i *Obcy* też

był. Bardzo byłem ciekaw, co zastanę przy willi Kirscha w tym roku.

Nie czekałem z odwiedzinami do Halloweenu. Pojechałem wcześniej, bo wisało nade mną widmo przyjęcia do szpitala i chirurgicznej operacji. Okazało się, że dobrze zrobiłem, decydując się na falstart, gdyż na blok operacyjny wezwano mnie 30 października. Makabra! Ozdoby na Jaśkowej Dolinie nie czekałyby na mój szpitalny wypis i ominęłyby mnie frajda. W tym roku panowało tam Kubrickowskie *Łnienie*. Że chodzi o wersję filmową, a nie książkową, dowiadujemy się z diabolicznego wizerunku Jacka Nicholsona (jako Jacka Torrance'a) umieszczonego na bramie wjazdowej. Patrząc na niego, przypominałem sobie pierwsze oglądanie *Łnienia* – bałem się tam właściwie wszystkiego (od psychotycznego

Brama willi Kirscha i Jack Torrance jak żywy ze *Łnienia*



Jacka, przez upiorne bliźniaczki, po sam hotel Panorama – przerażająco wielki i pusty, rzucony gdzieś na środek mroźnego bezludzia)... Nie ma się co dziwić: byłem wtedy dzieckiem.

Część tych artefaktów z filmowego horroru zademonstrowano w tegorocznej instalacji przy willi Kirscha. Na przykład dziecięcy rower, trójkołowa – choć niepozorny, to we mnie wywołał dreszcz lęku. Gdy go zobaczyłem we Wrzeszczu, wśród dywanu z liści, wróciło do mnie filmowe wspomnienie – upiorne skrzywienie rowerka, na którym przemierzał Panoramę mały Danny Torrance (w tej roli Danny Lloyd). Nie będę się rozpisywał, jak wielkie wrażenie na ulicznych przechodniach robił napis *REDRUM*, krwawo spływający z „hotelowych” drzwi. No i jeszcze, tuż obok, ten pokryty posoką strażacki toporek! Nie zabrakło nawet hotelowego fotela pokrytego czerwonym pluszem i szklaneczki burbona z lodem stojącej przy nim.

Ten, kto nie skupił się tylko na bezpośrednim sąsiedztwie chodnika, a zdecydował się zajrzeć na podwórko willi Kirscha, zobaczył tam odtworzone zjawy bliźniaczek, zamordowanych córek Delberta Grady’ego. W Gdańsku ich sukienki są nieco ciemniejsze i dłuższe, a dziewczynkom brakuje też białych podkolanówek. Grały je dwunastolatki – Lisa i Louise Burns. Choć w filmie pojawiły się na zaledwie kilkadziesiąt sekund, to chyba zapamiętał je każdy, kto oglądał *Łnienie*. Co ciekawe, był to ich pierwszy i zarazem ostatni występ w kinowym filmie pełnometrażowym. Lisa zajęła się w dorosłym życiu literaturoznawstwem, a Louise mikrobiologią. Mimo to *Łnienie* musiało wywrzeć na nich spore wrażenie, gdyż publikują w mediach społecznościowych materiały poświęcone filmowi Kubricka.

Tym jednak, co najbardziej przyciągało wzrok i obiektywy przechodniów na Jaśkowej Dolinie w tym roku, były... maszyny do



Trojka Danny’ego za płotem willi Kirscha



„Strażacki” detal przy Jaśkowej Dolinie 44



Słynne drzwi z hotelu Panorama w środowisku dyniowo-pajęczynowym



Blizniaczki Grady w odświeżeniu gdańskiej

pisania wiszące na płocie. Aż trzy, choć w filmie występowała tylko jedna. Pierwsze z zaprezentowanych urządzeń to Erika E100, zaprojektowana przez Ericha Johna dla zakładów VEB Schreibmaschinenwerke w Dreźnie. Aby ją

kupić w latach 80. XX w., trzeba było wydać połowę przeciętnej energodowskiej pensji.



Maszyna Erika E100, jako część inscenizacji przy willi Kirscha

Niestety, w *Lśnieniu* Jack Torrance nie pisał na Erice. Nie pisał też na radomskim Łuczniku 1303, który wisiał przy willi Kirscha kilka metrów od maszyny energodowskiej. Fabryka Broni „Łucznik” (do 2000 r. Zakłady Metalowe „Łucznik”) produkowała nie tylko oręż, ale również sprzęty cywilne. Najbardziej znane były chyba maszyny do szycia i właśnie maszyny do pisania. Te ostatnie zaczęto wytwarzać w Radomiu na początku lat 70. XX w. Produkcja bazowała na licencyjnym, szwedzkim urządzeniu firmy Facit. Pierwszy model wypuszczony z Radomia był duży, typowo biurowy i nosił nazwę Łucznik 660. Wkrótce ofertę powiększono o małe maszyny walizkowe i nowocześniejsze maszyny elektryczne. Zakład wypuszczał rocznie około 30 tysięcy tych urządzeń. Większość z nich trafiała do odbiorców zagranicznych.

Piszące „Łuczniki” importowało z Polski ponad 30 państw, były nawet egzemplarze z czcionkami arabskimi. W Gdańsku na ogroduzeniu zawisła jednak wersja polskojęzyczna.

Trzecią maszyną do pisania zdobiącą płot willi Kirscha jest Olympia SG3. Była to jedna z najbardziej udanych konstrukcji firmy Olympia Werke z siedzibą w Wilhelmshaven. Pierwotna siedziba firmy – Erfurt – znalazła się pod sowiecką okupacją, więc dyrektor Joachim Wussow, wraz z częścią robotników, uciekł na Zachód. Wytwarzanie SG3 rozpoczęto w roku 1963, a kontynuowano aż do schyłku lat 80. To nie był jednak jej koniec, bowiem na początku XXI w. licencję kupiła meksykańska firma i kontynuowała produkcję. Wariant z wieku XXI różnił się od wersji starszych wieloma szczegółami, ale najbardziej zauważalny był kolor lakieru (czarny) oraz dodatkowe czcionki wystukujące symbole @ i €. Niestety, ta maszyna także nie pojawiła się w *Łśnieniu*.

Zatem jakąż to maszyną wystąpiła w filmie Kubricka? Odpowiedź jest prosta – Adler J4. To na niej Jack wystukiwał obsesyjnie treść swojej książki. A kiedy jego żona, Wendy, znalazła gruby maszynopis – okazało się, że każda ze stron zawiera zmultiplikowane jedno zdanie: *All work and no play makes Jack a dull boy* (Wciąż robota, bez zabawy, Jacka nudzą takie sprawy). Ciekawostką może być to, że Kubrick zażyczył sobie, by w filmie pojawił się prawdziwy maszynopis, a tekst na każdej z jego pięciuset stron był inaczej sformatowany, w innym układzie, a nawet z innymi literówkami. By zrealizować pomysł reżysera, zatrudniono cały zespół maszynistek. Co więcej, dla wersji filmu przygotowywanych na eksport nakręcono scenę z widocznym tekstem maszynopisu wielokrotnie – osobno dla różnych wersji językowych. I tak, np. w filmie na rynek niemieckojęzyczny zdanie zapisane przez Jacka

brzmiało: *Was du heute kannst besorgen, das verschiebe nicht auf morgen*. We włoskiej wersji Jack napisał: *Il mattino ha l'oro in bocca*. W wersji francuskiej: *Un «Tiens» vaut mieux que deux «Tu l'auras»*. Do kin w krajach hiszpańskojęzycznych przygotowano maszynopis z tekstem: *No por mucho madrugar amanece más temprano*. Polskiej wersji jednak nie było...

Uważni widzowie zauważyli też, że w trakcie filmu maszyna zmieniła swój kolor. Twórcy nigdy tego nie skomentowali, więc zaczęły się pojawiać rozmaite interpretacje. Jedni twierdzili, że to zwykła pomyłka albo zaniedbanie



Maszyna Łucznik 1303 jako część inscenizacji przy willi Kirscha



Maszyna Olympia SG3 z lat 60. jako część inscenizacji przy willi Kirscha



Adler J4 ze *Łśnienia*, Los Angeles County Museum of Art (2013), fot. Russ A. Loar (licencja: CC BY-NC-ND 2.0)

asystenta planu, a inni, że był to celowy zabieg. Uwzględniając fakt, że w filmie zagrał jeden i ten sam egzemplarz Adlera, można przyjąć, że za opisaną sprawą stało ukryte przesłanie reżysera. Historyk, doktor Geoffrey Cocks, w swojej książce *The Wolf at the Door: Stanley Kubrick, History and the Holocaust* (Nowy Jork 2004) twierdzi nawet, że zmiana koloru maszyny jest głęboko zakamuflowanym przekazem odwołującym się do Holocaustu (Kubrick był Żydem z pochodzenia). Trudno mówić o przypadku, bowiem w filmie *Mechaniczna pomarańcza* reżyser także zagrał kolorystyką maszyn. Na biurku pisarza stoi czerwona IBM Selectric, zaś w pokoju Alexa widzimy maszynę Olivetti Valentine... także czerwoną. Gdy zaś Alex po raz kolejny pojawia się w domu pisarza, to IBM Selectric jest już szaroniebieski.

Maszyna ze *Łśnienia* należała do samego Kubricka, który dostarczył ją na plan z bardzo prozaicznych powodów – by zaoszczędzić choć odrobinę forsy na scenografii. A jej

filmowy oryginał można było oglądać przez chwilę w Polsce, w krakowskim Muzeum Narodowym, w roku 2014 na wystawie poświęconej twórczości reżysera.

Stanley Kubrick swoje scenariusze także pisał na maszynie. Wiadomo o trzech modelach, jakich używał. Jednym był już wspomniany Adler J4. Drugim – przenośny, dość lekki i poręczny Adler Tippa S. Ta druga maszyna, w kolorze żółtym, też była na planie *Łśnienia*, ale poza kadrem – pisał na niej reżyser. Trzecia maszyna Kubricka to IBM model C, produkowany w latach 1958–1967.

Jeszcze inna maszyna do pisania (firmy Litton Business Systems Inc.) była dla Kubricka inspiracją podczas tworzenia paranoicznego komputera HAL 9000 do filmu *2001: Odyseja kosmiczna*. W roku 1966 zaprezentowano dwunastominutowy film reklamujący maszynę do pisania Royal 660. Warto go obejrzeć (tu link: <https://youtu.be/lf5b2FiDaLk>) i zwrócić uwagę na sposób pokazywania bryły

maszyny oraz wsłuchać się w głos „Pana Maszyny” (Mr. Typewriter). Spokojnie, beznamietnie, niby uprzejmie – ale jakby z góry, apodyktycznie, pouczająco – wygłasza swoje kwestie. Znać to, pamiętacie? Miłośnicy *Odysei* z pewnością będą czekać, by „Pan Maszyna” gdzieś w trakcie klipu w końcu powiedział:

– Dave, po co ci ten śrubokręt?

Ale nawet to, co rzeczywiście wypowiada „Pan Maszyna”, jest znamienne:

– Sometimes we create our own problems. [10'14"]

– What do you doing now? [...] I can do it faster, better and easier. [10'25"]

– We're living in an electric world, more speed and less effort. [11'24"].

I w końcu:

– Let your typewriter work for you. [12'00"]

Ja też mam pewne doświadczenia z maszynami do pisania, choć pewnie nie tak rozległe jak Pan Kubrick. Moja pierwsza maszyna do pisania wcale nie była moja. Należała do Kurta Demutha, niemieckiego fotografa, wydawcy pocztówek i fryzjera. Znalazłem ją w jego dawnym domu, a prócz tego maszynopisy, których czcionka była identyczna jak w maszynie. Kiedy kończyła się druga wojna światowa – Demuth wyniósł się w pośpiechu na zachód. Miał powody, bo był zagorzałym nazistą. Maszyna Erika 5 została...

Bardzo mi się podobała: korpus pokryty czarną błyszczącą farbą, niemalże emalią, okrągłe klawisze z literami, drobne elementy chromowane i elegancka typograficznie nazwa. Wyczyściłem ją i próbowałem doprowadzić do porządku na tyle, na ile jest w stanie to zrobić jedenastolatek. Po wszystkim lśniła, ale mechanizm podnoszenia czcionek nadal się zaciął. Pisać się jednak dało, chociaż z niejakim mozołem.

Najpierw używałem jej do zabawy, a w wieku 14 lat wciągnęła mnie literatura. Poczułem, że nie chcę być tylko konsumentem prozy. Zatem napisałem na wspomnianej poniemieckiej maszynie swoje pierwsze opowiadanie. A jakże, fantastyczne! Dobrze pamiętam mękę nieustannego odblokowywania czcionek, no i konieczność dorysowywania ogonków w polskich znakach, bo maszyna przecież miała niemiecką czcionkę.

Opowiadanie przedstawiało historię wiejskiego alkoholika (uwieczniłem w nim swojego ojca), który – blakając się po lesie w pijackim zamroczeniu – chroni się przed chłodem nocy i deszczem w znalezionym przypadkowo blaszanym baraku (jak mu się zdawało). W rozwinięciu opowiadania barak okazał się pozostałością rozbitego statku kosmicznego obcej cywilizacji. Po porannym otrzeźwieniu (nie całkowitym) mój bohater szuka we wnętrzu czegoś, co zaspokoiliby jego nieznośne, wciąż narastające pragnienie. Znalazł pojemnik z ciecżą, której aromat, w górnej nucie, przypominał kiepski bimber. Pije więc duszkiem i... uruchamia ciąg dziwnych zdarzeń.

Powstało na tej Erice jeszcze kilka innych tekstów fantastycznych; ale żadnego z nich nigdy nie ośmieliłem się wysłać gdziekolwiek lub komukolwiek pokazać. Przepadły. Przepadła też maszyna. Któregoś dnia znów chciałem coś napisać, ale Eriki nie było w zwykłym miejscu. Ani nigdzie... Przypuszczam, że ojciec zamienił maszynę na kolejną flaszkę wódki. Chłop nie wiedział nawet, że mści się w ten sposób na sprzęcie, który przeniósł go na karty literatury. Nie odważyłem się go wtedy zapytać o losy maszyny. Po prostu się bałem. Trzeźwiał rzadko, a po pijanemu potrafił, przepraszam za słowo pochodzące z jego wokabularza, pierdolnąć. Co tam *Łśnienie* – to był dopiero prawdziwy horror... ■



JANUSZ PISZCZEK

Grudzień i styczeń to najskromniejsze miesiące, jeśli idzie o premiery wydawnicze. Wydawcy, chcąc zapewnić dostępność nowości przed świętami, koncentrują premiery w październiku i listopadzie, a pierwsze premiery nowego roku pojawiają się (skromnie) zazwyczaj w drugiej połowie stycznia.

ZAPOWIEDZI GRUDNIA

Silmarillion (Silmarillion) – J.R.R.

Tolkien

Data wydania: 3 grudnia 2024 (wznowienie)

Wydawca: Zysk i S-ka

Neom (Neom) – Lavie Tidhar

Data wydania: 3 grudnia 2024

Wydawca: Zysk i S-ka

Jarun – Monika Banaszyńska

Data wydania: 3 grudnia 2024

Wydawca: beYA

Duch na rozstaju dróg

Data wydania: 3 grudnia 2024

Wydawca: Zysk i S-ka

Planet Stories vol. I

Data wydania: 3 grudnia 2024

Wydawca: Stalker Books

Wędrująca asteroida (The Wailing Asteroid) – Murray Leinster

Data wydania: 3 grudnia 2024

Wydawca: Stalker Books

Oxygen 2088 – Tomasz Smerliński

Data wydania: 4 grudnia 2024

Wydawca: Wydawnictwo Nocą

Smoczy mrok (Darkness of Dragons) –

Tui T. Sutherland

Data wydania: 4 grudnia 2024

Wydawca: Mag

Wilkozacy. Księżycowy Sztylet – Rafał Dębski

Data wydania: 5 grudnia 2024 (wznowienie)

Wydawca: Drageus

Świat Kryształów (Crystal World) – B.V. Larson

Data wydania: 5 grudnia 2024

Wydawca: Drageus

Gra o tron (A Game of Thrones) – George R.R. Martin

Data wydania: 6 grudnia 2024 Wznowienie

Wydawca: Zysk i S-ka

Alteracja (The Alteration) – Kingsley Amis

Data wydania: 16 grudnia Wznowienie

Wydawca: ArtRage

Dawno temu i nieprawda – Michał Gołkowski, Maciej Głowacki

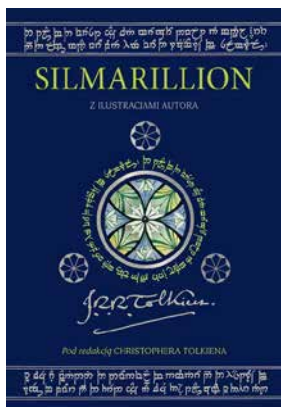
Data wydania: grudzień 2024

Wydawca: Fabryka Słów

Niczyja wojna – Agnieszka Kulbat

Data wydania: grudzień 2024

Wydawca: Nowa Baśń



ZAPOWIEDZI STYCZNIA

Księga mądrości (The Great Library of Tomorrow) – Rosalia Aguilar Solace

Data wydania: 2 stycznia 2025

Wydawca: Insignis

Futu.re (Futu.re) – Dmitry Glukhovskiy

Data wydania: 2 stycznia 2025 (wznowienie)

Wydawca: Insignis

Miasteczko Salem (Salem's Lot) – Stephen King

Data wydania: 14 stycznia 2025

Wydawca: Prószyński i S-ka

Virion. Ona – Andrzej Ziemiański

Data wydania: 15 stycznia 2025

Wydawca: Fabryka Słów

Więzy magii (Faebound) – Saara El-Arifi

Data wydania: 25 stycznia 2025

Wydawca: Literackie

Dumbledore. Życie i kłamstwa najsłynniejszego dyrektora Hogwartu (Dumbledore: The Life and Lies of Hogwarts's Renowned Headmaster)) – Irvin Khaytman

Data wydania: 29 stycznia 2025

Wydawca: Znak Literanova

Głód bogów (The Hunger of the Gods) – John Gwynne

Data wydania: 31 stycznia 2025

Wydawca: Fabryka Słów

Królowa Ognia (Queen of Fire) – Anthony Ryan

Data wydania: styczeń 2025

Wydawca: Fabryka Słów

Path of Vengeance – Cavan Scott

Data wydania: styczeń 2025

Wydawca: Olesiejuk

Szafirowy płomień (Sapphire Flames) – Ilona Andrews

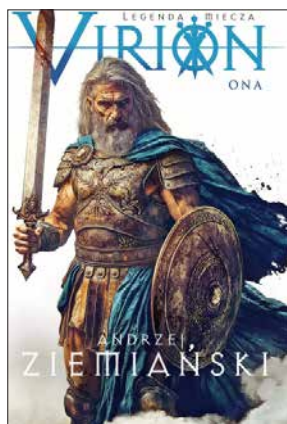
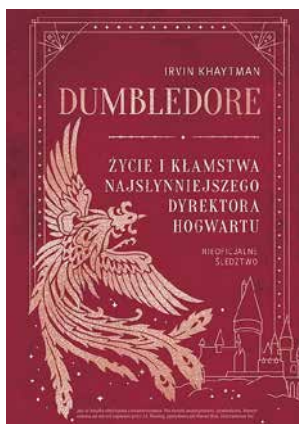
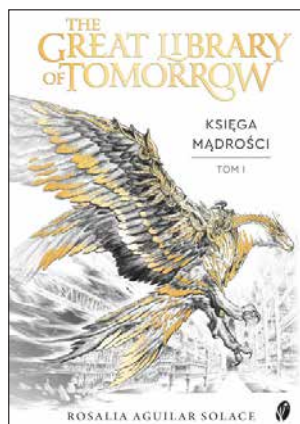
Data wydania: styczeń 2025

Wydawca: Fabryka Słów

Kuźnia talentów (Talents, Incorporated) – Murray Leinster

Data wydania: styczeń 2025

Wydawca: Stalker Books



ARTUR ŁUKASIEWICZ

Miesiąc temu popełniłem pewną gafę, gdyż opacznie zrozumiałem zapowiedź filmu *Minghun*; zła wersja wisiała nawet przez jakiś czas na stronie, ale dzięki szybkiej interwencji korektorek zostało to wyłapane jeszcze przed skierowaniem do druku. Jednak błąd wisiał przez chwilę – i kto wie, ile z *Was* go ściągnęło. Za co przepraszam z całego serca! Sprawdźcie, czy macie narzeczoną zamiast córki; jeśli tak – to możecie sobie pogratulować, bo macie Białego Kruka. Co zaś do grudnia: cóż... widać, że święta idą i będzie raczej rozrywkowo i chyba niezbyt mądrze, ale bawcie się dobrze – no i do zobaczenia w numerze grudniowo-styczniowym.

• 3 grudnia

Star Wars: Załoga rozbitek / Disney+ (nowość)

Osadzona w uniwersum *Gwiezdnych wojen* – tuż po wydarzeniach z *Powrotu Jedi* i jednocześnie *The Mandalorian*, chociaż wcześniejsza znajomość serii nie jest warunkiem koniecznym – mocno opóźniony *Skeleton Crew* opowiada o czwórce dzieci, które dokonują tajemniczego odkrycia na swojej rodzinnej planecie, a następnie muszą znaleźć drogę powrotną do domu, po tym, jak zgubiły się w galaktyce. Raczej dla skrajnych fanatyków albo dla dzieci po prostu.

• 4 grudnia

Tomorrow and I / sezon 1 / Netflix

Wygląda na tajską wersję *Black Mirror*: antologia czterech opowieści związanych z tajską kulturą, a jednocześnie nawiązanie do współczesnych dylematów moralnych związanych z technologią przyszłości. Ja lubię takie zabawy, więc sobie zapisałem w kalendarzu.

Churchill at War / dokument (serial limitowany) / Netflix

Opowieść o życiu i pracy Sir Winstona Churchilla – powiązana w dużej części z drugą wojną światową, nie stroniąca jednak od opowieści o nim samym. Próba zdiagnozowania jego cech charakteru, które stworzyły z niego przywódcę Wielkiej Brytanii i charyzmatycznego męża stanu, który stanął na czele koalicji antyhitlerowskiej.

• 5 grudnia

Black Doves / sezon 1 / Netflix

Thriller o prowadzącej podwójne życie agentce, której grozi zdemaskowanie po tym, gdy jej kochanek zostaje zabity. Do pomocy, na zlecenie centrali, przybywa ktoś, kto ma pomóc jej w zachowaniu szpiegowskiej przykrywk. Serial podobno już dostał zielone światło dla kolejnego sezonu.

Creature Commandos / seria limitowana / HBO Max

Siedmioodcinkowa animacja DC dla dorosłych. W założeniu to (które to już?) nowe otwarcie pokazujące jeszcze bardziej ulepszone uniwersum DC. Tajemniczy zespół militarnych superbohaterów, do których zaliczają się Wampir, Frankenstein, Wilkołak, Gorgona. Za nimi wszystkimi stoi Amanda Waller – szefowa Suicide Squad.

- 6 grudnia

Dzień Szakala / serial / SkyShowtime

Wygląda na to, że mamy do czynienia tylko z podchwyceniem franczyzy i nie ma ów serial nic wspólnego z genialnym filmem sprzed półwiecza, gdyż akcja toczy się współcześnie. Zabójcą na zlecenie jest tytułowy Szakal, a polowanie na niego rozpoczyna najlepsza brytyjska agentka. Areną polowania jest cała Europa – i zapewne wszystko skończy się dla tytułowego zabójcy niefortunnie. Ponieważ obsada wygląda zacnie, trudno będzie nie skorzystać z okazji i nie rzucić okiem.

The Sticky / sześciuodcinkowa zamknięta całość / PrimeVideo

Trochę ponad dekadę temu złodzieje ukradli prawie 3000 ton syropu klonowego. Ta historia jest opowieścią o tamtym wydarzeniu, o powodach, szalonym planie kradzieży i perypetiach z tym związanych. A wszystko w tonie czarnej komedii i z udziałem gwiazd dużego formatu. Coś mi się wydaje, że się skuszę.

Echoes of the Past / sezon I / Netflix

„Yehia” – fałszywie oskarżony o zamordowanie swojej siostry „Nadii” podczas wyprawy nurkowej – spędza lata za kratkami za zbrodnię, której nie popełnił. Teraz, 15 lat później, wraca, aby rozwikłać sieć kłamstw i wytropić prawdziwego sprawcę. Ale czy mu się to uda? Pachnie czymś w rodzaju Monte Christo? No tak jakby... Ale nie skreślamy niczego pochopnie. A nuż okaże się miłym wypełniaczem czasu.

Beezel / horror / kino

Takie domy powinno się omijać z daleka. Ale przez sześć dekad kilku nieszczęśników miało pecha. Od chwili, gdy tylko przekroczyli próg, ich los był przesądzony. W tej ruinie mieszka ślepa wiedźma – nieustannie głodna nowych dusz.

Mary / film / Netflix

Najpierw miał być inny film – coś w rodzaju *Pasji*, tylko opowiadającej wszystko z punktu widzenia Maryi. Miał tam grać Ben Kingsley, a Al Pacino wystąpić w roli Heroda. Premiera miała być w 2012, potem 2013, w końcu 2014 roku. A potem zniknął i wrócił właśnie teraz. Historia jest opowieścią o Maryi, o narodzinach jej, o zwiastowaniu, narodzinach Chrystusa i o życiu świętej rodziny. Tylko że Heroda gra teraz Anthony Hopkins – i wyłącznie dlatego o tym filmie wspominam w tym miejscu, gdyż podejrzewam, że będzie to „stylizowana” biblijna opowieść, w której wszystko jest z góry poukładane, źli są źli – bo tacy mają być, a dobrzy są tak dobrzy, że aż oczy łzawią. Chciałbym się mylić.

Elevation / film / kino

Akcja toczy się w postapokaliptycznych Górach Skalistych. Tam samotny ojciec i dwie kobiety opuszczają bezpieczne schronienie swoich domostw, aby stawić czoła bestiom. Chcą w ten sposób uratować życie młodego chłopca. Pachnie tyloma filmowymi skojarzeniami – ale może znajdzie się jakiś promyk.

- 10 grudnia

Secret Level / serial / PrimeVideo

Secret Level zawiera oryginalne historie osadzone w światach jednych z najbardziej ukochanych gier wideo. Stworzony przez twórców *Love, Death + Robots* – każdy z 15 odcinków to

celebracja gier i graczy. Gry, które zainspirowały te epickie opowieści, to m.in.: *Armored Core*, *Concord*, *Crossfire*, *Dungeons & Dragons*, *Exodus*, *Honor of Kings*, *Mega Man*, *New World: Aeternum*, *Pac-Man*, oraz różne gry z PlayStation Studios – *Sifu*, *Spelunky*, *The Outer Worlds*, *Unreal Tournament* i *Warhammer 40,000*.

Sto lat samotności / serial (16 odcinków) / Netflix

Arcydzieło literackie laureata Nagrody Nobla Gabriela Garcíi Márqueza trafia na Netflixa. *Sto lat samotności* to historia rodziny Buendía – dręczonej szaleństwem, niemożliwą miłością, wojną i strachem przed klątwą, która skazuje ich na samotność przez sto lat w mitycznym mieście Macondo. Wszystko, co zobaczycie na ekranie, to wynik bardzo szczegółowych badań historycznych, przeprowadzonych z dużą starannością i ogromnym szacunkiem dla powieści. Zobaczymy, ile w tym prawdy.

- 12 grudnia

Za fasadą / serial (8 odcinków) / Netflix

Decydując się na opuszczenie pustego gniazda i napisanie nowego rozdziału w swoim życiu – Lydia i Paul wystawiają na sprzedaż swoją wspaniałą willę w hiszpańskim stylu z 1920 roku w jednej z najbardziej poszukiwanych dzielnic Los Angeles. Rozpoczyna się szal na rynku nieruchomości. Wiele rodzin spieszy się, by kupić to, co uważają za swój wymarzony dom – w przekonaniu, że rozwiąże to ich problemy (jakiegokolwiek by one nie były). Ale, jak Lydia i Paul już wiedzą, dom naszych marzeń czasami kryje w sobie prawdziwy koszmar... Starając się ukryć mroczne i niepokojące sekrety osadzone w ścianach domu, który opuszczają – Paul i Lydia zaczynają zdawać sobie sprawę, że jedynym sposobem na uwolnienie się od przeszłości jest stawienie jej czoła.

- 13 grudnia

Carry On / film / Netflix

Film skupia się na wieczorze z życia Ethana – niedoświadczonego pracownika TSA (firmy zajmującej się kontrolą bagażów i pasażerów na lotniskach w celu zapewnienia bezpieczeństwa transportu). W Boże Narodzenie kontaktuje się z nim tajemniczy mężczyzna. Ethan ma tylko przepuścić niebezpieczny bagaż. Jeśli tego nie zrobi – ucierpią jego najbliżsi. Zwiastun daje sporą nadzieję na dobrą zabawę.

Władca Pierścieni: Wojna Rohirrimów / film animowany / kino

Akcja rozgrywa się 183 lata przed wydarzeniami ukazanymi w oryginalnej trylogii filmowej. Nagły atak Wulfa (sprytnego i bezwzględного lorda Dunlendinga, szukającego zemsty za śmierć ojca) zmusza Helma i jego lud do podjęcia śmiałej ostatniej walki w starożytnej twierdzy Hornburg – potężnej fortecy, która później stanie się znana jako Helmowy Jar. W kinach pewnie będą tłumy. Ja się tam nie znam i chyba poczekam na VOD.

Kraven łowca / film / kino

Jest to opowieść o tym, jak i dlaczego powstał jeden z najbardziej ikonicznych złoczyńców Marvela. Rozgrywa się ona przed rozpoczęciem jego niesławnej vendetty przeciwko Spider-Manowi. Od małego chłopca, przez bezwzględного i ogarniętego opętańczą żądzą dominacji ojca, do krwawej zemsty oraz opętańczej myśli, by zostać największym łowcą na świecie. Film



Władca Pierścieni: Wojna Rohirrimów; reż. Kenji Kamiyama; USA, Japonia 2024

jest przeznaczony dla widzów dorosłych. Russell Crowe gra ojca tytułowego antybohatera. W filmie zobaczymy też postać Rhino (czyli czarnego charakteru z komiksów Marvela, który ma być wierniejszy temu, co znamy z komiksów niż dziwaczna wersja z filmu *Niesamowity Spider-Man 2*). Film nie jest częścią MCU, ale jest osadzony w tym samym uniwersum, co *Morbius* i *Venom*.

- 25 grudnia

Doktor Who: Joy to the World / odcinek świąteczny / Disney+

Kurła, nic nie wiem, niczego nie mogę wyczytać – a z tego, co wyczytałem, nic nie rozumiem. Może dlatego, że cały serial znudził mnie w okolicach pana Tennanta – któregoś tam doktora (tak ma być napisane!). Ale wiem, że są tacy, którzy tę serię kochają – więc niech mają chwilę przyjemności; ja odpuszczam.

- 26 grudnia

Squid Game / sezon 2 / Netflix

I tu mam zagwozdkę... Sezon pierwszy był fajny i fajnie; ale naprawdę nie wiem, czy chcę zobaczyć jego kontynuację. Nie jest źle, ale czy może być lepiej? Jakoś boję się, że nie będzie...



QRATOR ZNOWU NA PODIUM

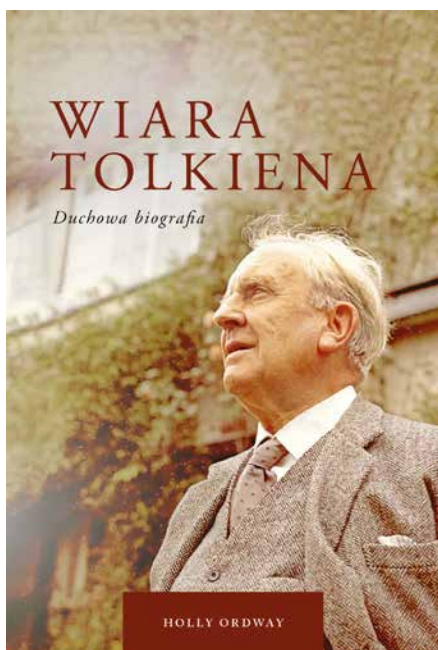
Gala wręczenia nagród dla laureatów XIX pomorskiego konkursu literackiego Powiew Weny odbyła się 20 listopada w Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Aleksandra Majkowskiego. Ten ogólnowojezdowski konkurs organizowany jest w podziale na utwory poetyckie i prozatorskie oraz w dwóch kategoriach wiekowych – młodzież i dorośli. Mottem tegorocznej edycji były słowa Czesława Miłosza: *Nigdy nie wie się, co poradzić z tym krzykiem, co odzywa się w nas samych*. Napłynęło łącznie 37 prac. W kategorii proza/dorośli drugie miejsce zajął, za opowiadanie *Zakład*, Tomasz Magulski. Gratulujemy! Notabene nasz Qurator nie pierwszy raz znalazł się na podium tego konkursu; podobnie częstym triumfátorem Powiewu Weny był Krzysztof Szkurłatowski.

wg: tubawejherowa.pl

TOLKIENOWSKIE ŻNIWA

Ciężkie czasy nastały dla kies i biblioteczek fanów twórczości Johna Ronalda Reuela Tolkiena oraz publikacji okołotolkienowskich. W niedługim odstępie czasu, nie licząc książek dla dzieci (*Łazikanty* oraz *Pan Błysk*), ukazały się trzy opasłe tomszcza: *Wszystko, co sobie wymyślisz*. Peter Jackson i jego *Śródziemie* lana Nathana, *Wiara Tolkiena* Holly Ordway oraz prawdziwy skarb: *Silmarillion* z ilustracjami samego Mistrza. Dwóm pierwszym z ostatniej trójki z pewnością poświęcę więcej miejsca na tych łamach, kiedy tylko się przez nie przedrę (a to pokażne ponad 600-stronicowe księgi), natomiast w kwestii *Silmarillionu* (okładka w Zapowiedziach grudnia) skupię się raczej na ogólnych wrażeniach, bo przecież wszyscy już tę książkę znają.

grzeszcz



ZNÓW FANTASTYCZNA KAMIENICA SZTUKI

27 listopada w Wejherowskim Centrum Kultury (ale nie w Filharmonii Kaszubskiej, lecz w znajdującej się obok Kamienicy Sztuki) odbyło się otwarte spotkanie autorskie z twórcami komiksu *Wilki, śpijcie dobrze* – który ukazał się w tym roku nakładem wydawnictwa Timof Comics. W spotkaniu wzięli udział twórcy komiksu: Katarzyna Drewek-Wojtasik (graficzka i ilustratorka) oraz Piotr Szulc (scenarzysta).

wg: wck.org.pl

JEDNAK PREQUEL (A NIE SPIN-OFF) SERII O WIEDŹMINIE

29 listopada na księgarskim rynku pojawiła się nowa powieść Andrzeja Sapkowskiego zatytułowana *Rozdroże kruków*.

jpp



GDYBYM MIAŁA SONDĘ Z DREWNA...

Japońscy naukowcy zbudowali bardziej przyjazną środowisku sondę LignoSat – wielkości mniej więcej kubka do kawy. Użyli drewna magnolii, które testowali przez rok na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej (ISS); okazało się, że w tych warunkach było ono stabilne i odporne na pękanie (w przestrzeni kosmicznej działanie tej drewnianej sondy przewidziane jest na sześć miesięcy). Badacze z Uniwersytetu Kioto i firmy Sumitomo Forestry chcieli sprawdzić, czy możliwe jest wykorzystanie biodegradowalnych materiałów w technologiach kosmicznych – tak, aby mogły zastąpić niezbyt przyjazne środowisku metale (szczególnie glin).

wg: energetyka24.com



rys. Jan Plata-Przechlewski (PiPiDżej)

ANDRZEJ PRÓSZYŃSKI *W pętli czasu zimowego*

Jestem zdyscyplinowanym obywatelem i zawsze skrupulatnie wypełniam swoje obowiązki wobec społeczeństwa – nawet jeśli nie przypadają mi do gustu. Biorę udział we wszystkich wyborach i referendach, odpowiadam na apele władz i podporządkowuję się wszelkim przepisom i rozporządzeniom. Trochę mi trudno wypić każdego roku te prawie 10 litrów alkoholu, które przypadają na mnie jako statystycznego Polaka, ale i tu jakoś sobie daję radę; a czasem nawet, w czynie społecznym, staram się podnieść wskaźniki.

Właśnie kończyłem kolejnego drinka przed telewizorem, kiedy usłyszałem, że dzisiejszej nocy przestawiamy zegar z godziny trzeciej na drugą. Tego akurat bardzo nie lubię, ale co zrobić – jak mus, to mus. Nastawiłem budzik na 2:55, po czym dopiłem drinka i udałem się na spoczynek.

Kiedy zadzwieczał dzwonek, poderwałem się, zapaliłem światło i utkwilem rozespany wzrok w tarczy mojego dręczyciela. Odczekałem do 3:00, cofnąłem wskazówki na 2:00 i przyłożyłem



rys. Adam Mateja

głowę do poduszki, senność jednak minęła bez śladu. Na szczęście przypomniałem sobie, że tej nocy śpimy godzinę dłużej, więc postanowiłem uczcić darowany mi czas. W poczuciu dobrze spełnionego obywatelskiego obowiązku nalałem sobie solidnego drinka i zasiadłem przed telewizorem. Program był jednak przeraźliwie nudny, więc ani się obejrzałem, gdy zmorzył mnie sen.

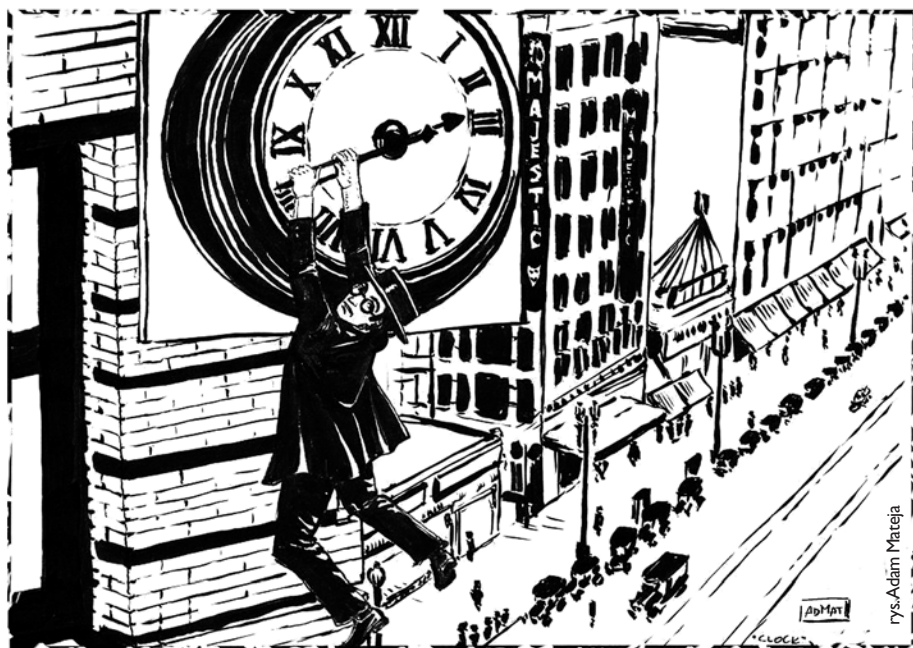
Obudził mnie dzwonek. Poderwałem się, zdeorientowany, ale na szczęście przypomniałem sobie, że przecież nastawiłem budzik na 2:55. Odczekałem parę minut, cofnąłem wskazówki na 2:00 i opadłem na fotel. W TV przynudzali jak poprzednio, więc zrobiłem sobie kolejnego drinka. Potem przysnąłem, a o 2:55 znów zadzwonił budzik.

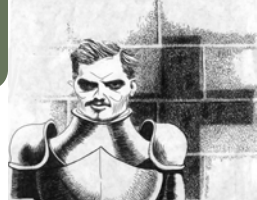
Miałem już tego dosyć i z pewnym zdziwieniem odkryłem w sobie żyłkę buntownika. Ja i buntownik? To przecież niemożliwe! Faktem jest jednak, że zagryzłem zęby i postanowiłem nie cofać więcej wskazówek. Zaparłem się i już. Zaciśnąłem powieki; a gdy otworzyłem oczy, na budziku była druga.

Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Samo się zrobiło? A może wpadłem w pętlę czasową? Na wszelki wypadek łyknąłem kolejnego drinka, przetarłem okulary i spojrzałem jeszcze raz: była druga. A potem z telewizora wychylił się sędzia Dredd, pogroził mi palcem i kazał czym prędzej kłaść się do łóżka. Sami rozumiecie – jak tu nie posłuchać sędziego?

Obudziłem się rano z koszmarnym bólem głowy. Byłem sponiewierany, lecz dumny i szczęśliwy: jak tu nie gratulować komuś, kto wpadł w pętlę czasową, a potem jeszcze wyszedł z niej bez szwanku? Zwłaszcza jeśli tym kimś byłem ja sam? ■

(28/29.10.2023)





KORRESPONDENCJA 156

WHISKY Z KOLALOKĄ, CZYLI KOŃSKA OPERA

Zainspirowany tegorocznym tematem naszego sztandarowego konwentu oraz przypomnieniem przez Andrzeja Prószyńskiego superkomedii Adela jeszcze nie jadła kolacji, postanowiłem i ja odświeżyć sobie pastisz westernów stworzony przez czechosłowacką kinematografię. Przy okazji okazało się, że film, o którym za chwilę będzie mowa, obchodzi w tym roku diamentowy jubileusz swojej premiery, więc nieskorzystanie z takiej okazji byłoby zbrodnią.

Lemoniadowy Joe Oldřicha Lipského z 1964 r., na motywach powieści Jiříego Brdečki, to dowód na to, że filmowy postmodernizm uprawiano w najlepsze nad Wełtawą, zanim stał się on modny na Zachodzie (John Barth jego manifest, *Literaturę wyczerpania*, ogłosił wszak dopiero w roku 1967). W Polsce filmy te, za sprawą tytułu jednej z pierwszych tego typu produkcji – *Nikt nic nie wie* (1947 r.!), często właśnie tak z przekąsem określano. Było to jednak efektem ich prekursorskiego podejścia do sztuki rozbawiania oraz lokowania humoru daleko poza horyzontem oczekiwania ówczesnych odbiorców (zgłoszony do oscarowej preselekcji w kategorii filmu nieanglojęzycznego *Lemoniadowy Joe* przypadł). Bo też, mimo często lekkiej formy, nie oferowały one prostej rozrywki, bawiąc się nie tylko filmową materią (Czechosłowacja w demoludach uchodziła za najbardziej technologicznie rozwiniętą kinematografię, a jeszcze w drugiej połowie lat 80. XX w. polscy twórcy jeździli do Pragi, by kręcić tam zdjęcia trickowe – patrz chociażby przypadek *Kingsajzu* Juliusza Machulskiego), ale przede wszystkim wątkami fabuły. Nie uznawali przy tym żadnych kompromisów, ubarwiając opowieść całą masą luźnych skojarzeń; również tych, zdawałoby się, nieprzystających do siebie. Historia grzęzła w serii różnie związanych ze sobą gagów

i – żeby się nią delektować – trzeba było albo zachowywać cały czas napiętą uwagę, albo cieszyć się chwilą i radować każdym witzem padającym z ekranu. Przedstawiciele pierwszego typu widzów pod koniec seansu byli zapewne wymęczeni, a ci drudzy mogli się czuć oszukani, bowiem sens tych wszystkich skeczów na zakończenie projekcji mógł się im nie objawić. Z tego doświadczenia brało się również określenie *czeski film*, czyli dzieło, z którego *nikt nic nie wie*. Ale prawda o istocie tego sposobu opowiadania jest zupełnie inna: były to obrazy dosłownie odzwierciedlające nasze życie, które pełne jest działań chaotycznych, nieuporządkowania, miotania się i na którego końcu nie zawsze pojawia się spełnienie.

Czas jednak wrócić z tej dygresyjnej wycieczki do naszego utworu, który – na całe szczęście – nie daje tak odbiorcy w kość, jakby się mogło z powyższych rozważań wydawać. Przede wszystkim dlatego, że już dawno nauczyliśmy się inaczej patrzeć na kino i obejrzelśmy dziesiątki, o ile nie setki tytułów, które w dekonstruowaniu sztuki filmowej poszły znacznie dalej niż komedia Lipskéhogo.

Mamy tu, jako się rzekło, do czynienia z parodią westernu (skoro włoskim westernom nadano przydomek *spaghetti*, to czeski powinien być chyba knedliczkowy), a zatem historia rozgrywa się w niewielkim miasteczku

Stetson City w Arizonie. Jedyńm dającym rozrywkę lokalem jest tu saloon Douga Badmana (Rudolf Deyl), gdzie lokalni rewolwerowcy (pistolnicy – jakże pięknie brzmi to po czesku!) piją whisky i bawią się w towarzystwie dam nie najcieńszego obyczaju. Jego gwiazdą jest pewna upadła szansonistka Tornado Lou (Květa Fialová), która wciąż czeka, aż pojawi się jakiś kowboj i zabierze ją z tej speluny. Do tego siedliska pijaństwa i rozpusty wkracza pewnego dnia ekstrawagancka para: ojciec i córka, którzy rozdają ulotki nawołujące do wstrzemięźliwości od alkoholu. Na ich nieszczęście: ojciec jest już stareńki, a blondwłosa Winnifred (Olga Schoberová) śliczna jak marzenie. Gdy sytuacja wokół tej pary niebezpiecznie się zagęszcza, pojawia się jeszcze jeden intruz, również blondyn, w dodatku cały na biało. Ku zaskoczeniu wszystkich zamawia lemoniadę Kolaloka i dzięki temu zostaje rozpoznany jako Lemoniadowy Joe (Karel Fiala; tu jeszcze jedna uwaga: Czesi nie wymawiają jego imienia z angielska „džou”, tylko tak jak

stoi napisane – „joe”). Najbardziej charakterny pistolnik próbuje dać wymuskanemu paniczekowi nauczkę, ale ponieważ wcześniej włął w siebie kilka szklaneczek zaprawionej ostrymi przyprawami whisky, nie staje na wysokości zadania. Joe, pokrzepiwszy się lemoniadą z własnej piersiówki, trzymając w swej pewnej, choć nie starej, ręce rewolwer, rozbraja zawadiakę, czym przyciąga uwagę zarówno młodej aktywistki ligi trzeźwości, jak i wampa lokalnej sceny. Z tej ekspozycji wiemy już, że w pojedynku dobra ze złem wezmą tym razem udział zwolennicy wysoko procentowych trunków oraz propagator napojów bezalkoholowych. Stawką starcia będzie zaś niewinna piękność, a *femme fatale* najprawdopodobniej znowu obejdzie się smakiem. A i jeszcze jedno: prawdziwym władcą ciemnej strony okaże się poszukiwany w kilku stanach brat właściciela saloonu Horac Badman vel Hogofogo (Miloš Kopecký – ten sam, który zagrał Ogródnika w *Adeli...* oraz filozofującego dr. Štrosmajera w *Szpitalu na peryferiach*), który nie tylko będzie chciał się

Lemoniadowy Joe; reż. Oldřich Lipský; Czechosłowacja 1964



pozbyć lemoniadowego obrońcy prawa, ale na deser zdeprawować blond anioła.

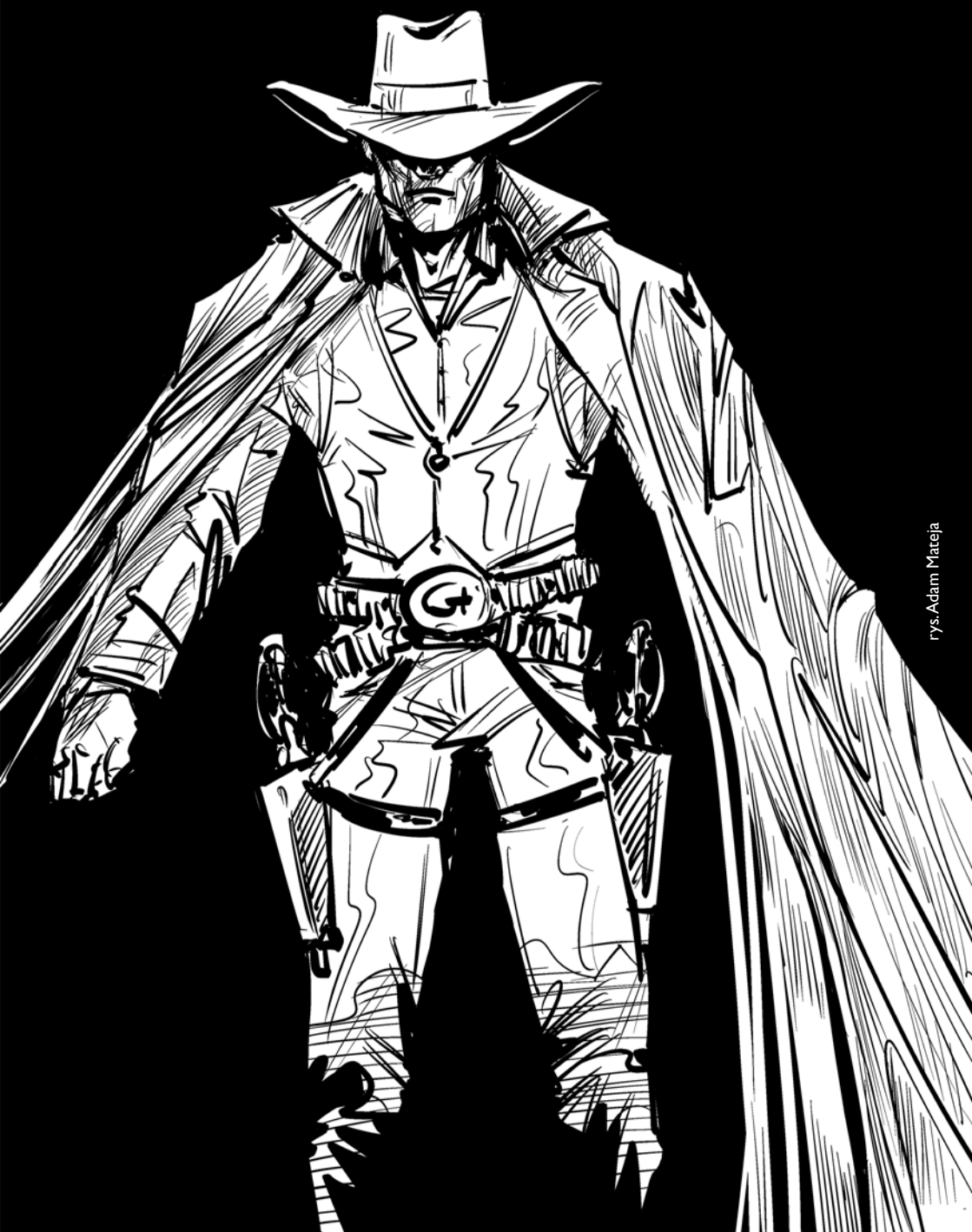
Nie zamierzam referować fabuły skecz po skeczu, bo i tak nie zapamiętałem wszystkich. Zresztą w tym jest cała przyjemność oglądania tego filmu, do czego nieznających go serdecznie namawiam. Obejrzany przeze mnie dziś, odsłonił jeszcze jedną warstwę, której nie dostrzegłem jako widz nastoletni (poprzednio bowiem widziałem go jeszcze w latach 80.). Otóż jest to bezpardonowa satyra na kapitalizm (to pewnie kolejny powód, dla którego nominacja do Oscara przeszła *Joemu* koło nosa). Po serii fortunnych zdarzeń rozpoczyna się rywalizacja między saloonem a pubem (też całym na białą), gdzie serwuje się Kolalokę (od nazwiska właściciela wytwórni – czytelna aluzja do coca-coli). Miejscowi rewolwerowcy, ku ucieście grabarza, odkrywają, że po wypiciu lemoniady trafiają bezbłędnie w rywala, podczas gdy po whisky często nie byli w stanie wyjąć broni z kabury: *Gdy strzela miłośnik Kolaloki – lekarz nie jest już potrzebny* – głosi jedno z reklamowych haseł. Co więcej, okazuje się, że Lemoniadowy Joe jest tak naprawdę synem producenta bezbąbelkowego napoju i para się akwizycją, zapewniając zbyt rodzinnej firmie. Tracący zyski Badmano wie nie przebiegają więc w środkach, by odzyskać inicjatywę. Na końcu zaś nie będzie miało żadnego znaczenia czyś zły, czy dobry, trzeźwy lub napruty – jeśli tylko da się twoje talenty przekuć na finansowy sukces koncernu – witaj na pokładzie. Nic dziwnego, że była to tak często emitowana w tvpr1 komedia.

Czy fan fantastyki niezainteresowany odkrywaniem satyrycznych zawłości czeskiego filmu lub jego aluzji do klasycznych westernów znajdzie dla siebie choćby jeden element, który będzie usprawiedliwieniem dla obejrzenia tego obrazu? Ależ tak! Jest nią sama tytułowa lemoniada, która nie tylko znakomicie gasi pragnienie, poprawia wzrok i pewność ręki

pistolnika, leczy większość znanych schorzeń, ale nawet – przywraca życie zmarłym. To także zabawa legendami Dzikiego Zachodu oraz mitami komiwojażeryzmu nt. cudownych preparatów, na których można zbić fortunę (przypomnijcie sobie choćby teledysk do piosenki *Say, say, say* Michaela Jacksona i Paula McCartneya), ale wykorzystana bardziej funkcjonalnie, bo w finale rzeczywiście wskrzesza poważnie przetrzebioną obsadę i pozwala zakończyć dzieło pojednaniem wszystkich ze wszystkimi.

Inną cechą westernu, która dopiero teraz stała się dla mnie jasna (choć to pewnie żadne odkrycie, po prostu wcześniej nie bardzo go szukałem), jest jego podobieństwo do romanu rycerskiego. W obu tych typach opowieści spotykamy samotnego jeźdźcę, obrońcę prawa i uciśnionych dziewczyn, który występuje przeciw siłom zła w imieniu damy swego serca – zmieniają się tylko dekoracje, broń i końskie rzędy. Mamy więc tu do czynienia z podstawowymi toposami fantasty i chyba tak należy czytać western. Nie zmienia to jednak faktu, że poza okresem dzieciństwa nigdy nie pałałem do tego gatunku jakąś przesadną miłością, a dla fantasty nadal zachowuję sporo ciepłych uczuć.

Zamykając te rozważania, wypada dodać, że obok całkiem ciekawych zdjęć trickowych (m.in. wychylający się niemal poziomo, jak w kreskówkach, nad przepaścią Joe, czy poprawiający elementy swojej garderoby w trakcie swobodnego spadania) film jest czarno-biały. Niektóre sceny zostały jednak dodatkowo pokolorowane bezpośrednio na taśmie, więc mają barwne, tyle że monochromatyczne, tło. Podtytułem tej komedii jest *końska opera* (w polskiej wersji językowej zupełnie pominięta*) i rzeczywiście, sporo się w tym filmie śpiewa (każda z głównych postaci ma swoją solówkę, Hogofogo nawet dwie), a Joe czyni to głosem... Karela Gotta (mega gwiazdy swoich czasów, popularnej także





u nas). W kategorii parodii westernów jest to mój zdecydowany *number one*, bijący na głowę *Plonące siodła* Mela Brooksa – młodsze o 10 lat.

Za prylu często się mówiło, że Polska jest najzabawniejszym barakiem obozu państw socjalistycznych, ale to nieprawda. Mistrzami komedii, przynajmniej wśród Słowian, byli, są i będą Czesi. O ich sukcesie decyduje przede wszystkim to, że nie czynią z humoru broni przeciw komuś (tak jak np. w Polsce, gdzie głównie się obśmiewa przeciwników), ale tarczę dla siebie. Dlatego ich dowcipy są bardziej uniwersalne i niewymagające znajomości politycznych czy historycznych kontekstów. Oczywiście wpływ na ten fakt miały dzieje naszych narodów i będący ich pochodną temperament. Jednak muszę się przyznać, że osobiście bardzo lubię te czesko-słowackie komedie, a *Lemoniadowy Joe* jest jedną z najwyżej przeze mnie cenionych ■

Wasz wielkokacki korespondent

PS.

W ramach repetowania sobie westernowych cymeliów odszukałem w sieci polską westernową nowelkę telewizyjną pt. **Komedia z pomyłek**, w reżyserii **Jerzego Zarzyckiego** na podstawie opowiadania Henryka Sienkiewicza z 1967 r.

W małym miasteczku Struck Oil City funkcjonuje dobrze prosperująca groczeria Hansa Kasche (Zdzisław Maklakiewicz), jednak pewnego dnia przybywa tam Laura Neuman (Iga Cembrzyńska), która po drugiej stronie ulicy

otwiera sklepik ze zbliżonym asortymentem. Kasche, nie bacząc na płęć konkurentki, rozpoczyna bezpardonową rywalizację z Neuman. Dopóki odbywa się ona zgodnie z prawami kapitalistycznego rynku i polega na obniżaniu cen chodliwych towarów, mieszkańcy Struck Oil City mogą być zadowoleni. Ale ile towarów można sprzedawać na Dzikim Zachodzie taniej? Kiedy arsenał obniżek się wyczerpuje, dochodzą do głosu inne argumenty, a to obmowa, a to niszczenie mienia, a to obraza. W końcu życie w spokojnym dotąd miasteczku staje się nieznośne i szeryf postanawia oddać sprawę w ręce sędziego. Ten jednak jest Holendrem, gada jedynie po francusku i nie rozumie spierającej się w jego przytomności pary. Z ich machania rękami i bicia się w pierś wnioskuje, że chodzi o sprawy sercowe i... A co ja Wam będę pisał – obejrzyjcie sami! ■



Komedia z pomyłek; reż. Jerzy Zarzycki; Polska 1967

* W trakcie kolegium tego numeru „Informatora” nasz niezastąpiony naczelny zwrócił uwagę, że owa *końska opera* – nieujęta przez polskiego tłumacza filmu – to nic innego tylko nazwa pewnej ekstrawaganckiej odmiany westernu, charakteryzującej się niezliczonymi bijatykami, pogoniami i strzelaninami, czyli... *horse opery*. Ta zaś, *per analogiam*, dała nazwę specyficznemu typowi fantastycznej ekspresji, której głównym tematem były gwiazdne bitwy między zwaśnionymi światami – *space operze*. Zważywszy, że porządek wszechświata przedstawiany w tzw. kosmicznym westernie (polskie tłumaczenie terminu *space opera* jednoznacznie wskazuje na gatunkowe pokrewieństwo z *horse opera*) naśladuje system feudalny (ten sam, który jest fundamentem romansu rycerskiego), nie będzie wielkim nadużyciem stwierdzenie, że western jest pomostem między *fantasy* a *science fiction*. Pamiętajmy także, że przedwcześnie zmarły Robert E. Howard, ojciec-założyciel heroic fantasy, był również wziętym i uznanym twórcą literackiego westernu.



KAROL GINTER

NADAL TAK TRZYMAĆ

Timothy Zahn

Star Wars. Dynastia Thrawna. Wyższe dobro

Zniszczenie zagrożenia, jakim było powstające imperium Nikardunów, przysporzyło Thrawnowi chwały. Chissowie likwidują resztki sił Nikardunów. Thrawn usiłuje odkryć, kto stał za Nikardunami. Wymaga to od

niego naginania przepisów. Wrogowie Thrawna wśród Chissów każdy jego błąd wykorzystają przeciwko niemu.

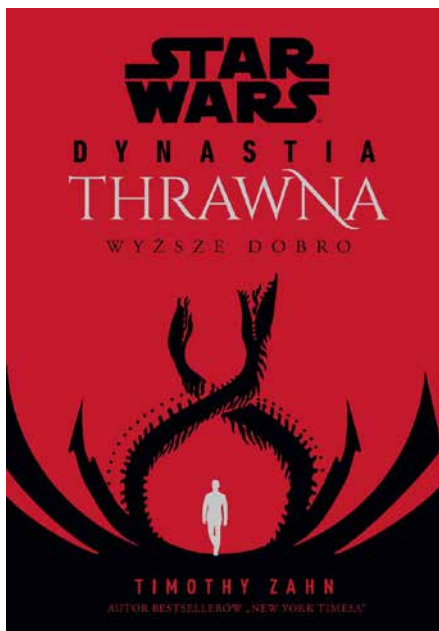
Tymczasem Jixtus, którego plany pokrzyżował Thrawn, przygotowuje kolejną intrygę. Celem jego działań wciąż pozostaje zniszczenie Chissów. Chce wywołać wojnę domową, która doprowadzi do ich zagłady. Jednym z jego agentów jest Haplif, który najpierw musi znaleźć sposób na zainicjowanie konfliktu.

Agenci Jixtusa zdążyli już go uprzedzić o zagrożeniu, jakim jest Thrawn. Tymczasem zdaje się je lekceważyć. Za to Thrawn nic nie wie o Jixtusie. Szuka wroga, ale ten pozostaje nieuchwytny. Czy wobec tego ma w ogóle szansę, by pokrzyżować jego plany?

Dobrze napisana powieść. Fabuła trzyma w napięciu. Przykuwa uwagę. Autor potrafił mnie zaintrygować. Tempo narracji niezłe. Wady te same, co w poprzednim tomie – czyli akceptowalne. Przyjemna lektura. Rozbudza apetyt na ciąg dalszy ■

karolginter.pl

[tytuł recenzji od redakcji INFO]



ip'24

MICHAŁ BLEJA

ZUZANNA IDZIE NA MIASTO

Jedną z rzeczy, za które uwielbiam Dukaję, to umiejętność pisanego zarazem bardzo gęsto i bardzo lekko. Umiejętność ta nie ujawnia się w każdym utworze – teksty tego autora bywają trudne w odbiorze, ale od niektórych po prostu trudno się oderwać. Weźmy mój ukochany Ruch generała, albo Starość aksolotla. Weźmy wreszcie Córkę łupieżcy. Wszystkie wymienione dzieła łączy ogromne nasycenie, niewielka objętość oraz fakt, że świetnie się je czyta.

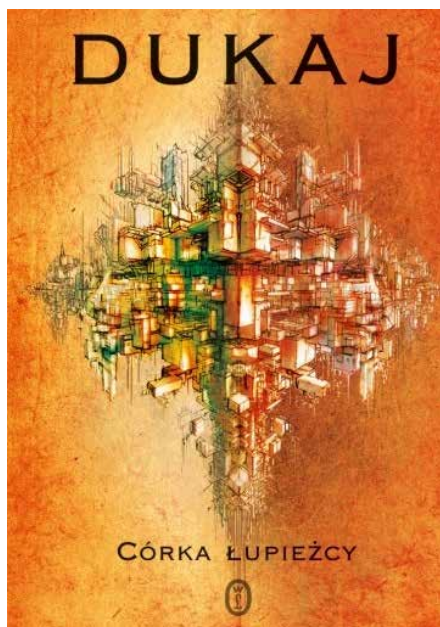
Córka łupieżcy, podobnie jak większość nowelek Dukaję, zaczyna się z przytupem. Niby jesteśmy w Polsce, w niezbyt odległej przyszłości, niby rozpoznajemy imiona, nazwy geograficzne – a jednak wszystko sprawia wrażenie, jakby wywinęło się na lewą stronę. Ludzkie interakcje zachodzą na kilku płaszczyznach. Ich układ jest znacznie bardziej skomplikowany niż znany nam podział real–wirtual. Dla Zuzanny Klein, tytułowej córki łupieżcy, najważniejszą płaszczyzną wydaje się Isen – stan podobny do snu, wywołany przez substancję nazywaną libarytem. Lśniąc, można nie tylko brawurowo skracać sobie drogę przez czasoprzestrzeń, ale też utrzymywać kontakty towarzyskie ze zmarłymi oraz – uwaga – z jeszcze nienarodzonymi. Jedną z najważniejszych postaci drugoplanowych jest Ula, która towarzyszy Zuzannie od samego początku, choć dopiero pod koniec książki zostaje poczęta. Widzicie już, że jazda jest ostra? I to nawet jak na Dukaję.

Zdecydowana większość dobrych fabuł SF opiera się na interesującej odpowiedzi na pytanie „co by było, gdyby”. Dukaj nie jest tu wyjątkiem, tyle że *Córka łupieżcy* nie została zbudowana na jednej, lecz na dziesiątkach lub setkach takich odpowiedzi. Wszystkie są odważne, daleko wykraczają poza utarte konwencje i wszystkie rozpędzają wyobraźnię czytelnika do poziomu, przy którym trudno zasnąć. Nie warto spieszyc się z czytaniem tej

książki, mimo że jej akcja toczy się piekielnie szybko.

Znaczna część fabuły osadzona jest w miejscu–niemiejscu, które Zuzanna nazywa Miastem. Czym owo Miasto jest konkretnie – Dukaj nie precyzuje, choć pozwala nam się domyślić, że spośród wspomnianych już skrótów przez czasoprzestrzeń to właśnie ono jest najważniejsze i najciekawsze. W książce pojawiają się domysły, sugestie, hipotezy i szczegółowe opisy. Pod tym względem Miasto przypomina słynną *Katedrę*; z tą jednak różnicą, że *Córka łupieżcy* nie jest nudna. Nawet wtedy, gdy filozoficzna zajawka Dukaję manifestuje się w pełnej krasie. Duża w tym zasługa licznych elementów *stricto* rozrywkowych: kryminalnej intrygi, tajemnicy, nawet nieskrępowanej erotyki. Samą główną bohaterkę można uznać za element rozrywkowy – to młodziutka i bardzo atrakcyjna dziewczyna o młodzieżowym (że się tak wyrażę) temperamentem. Do Zuzanny łatwiej poczuć sympatię niż do neurotycznego naukowca czy zmęczonego życiem astronauty – dwóch ulubionych archetypów twardej SF.

Córka łupieżcy ma ponad dwie dekady, więc trzeba uczciwie przyznać, że zdążyła się już trochę zestarzeć. Przypomnijmy – w pierwszej połowie lat zerowych temat sztucznej inteligencji pojawiał się właściwie wyłącznie w fantastyce. Telefony z dostępem do internetu i media społecznościowe dopiero



startowały. Tym, co wówczas ekscytowało ludzkość, była rzeczywistość wirtualna – i ma to w *Córce*... wyraźne odbicie. Dukaj bawi się ideą rzeczywistości wirtualnej, wygina ją na wszystkie strony, nadaje jej niespotykane nigdzie indziej postacie. Pod tym względem *Córka*... może być postrzegana jako świadectwo swych czasów i może wywołać sentymalny uśmiech u ludzi, którzy – tak jak ja – świetnie te czasy pamiętają. Więcej: których (tak jak mnie) te czasy ukształtowały.

Mimo wszystko *Córka łupieżcy* to nie jest mój ulubiony Dukaj. Nie będę się jednak silił na poszukiwanie słabych stron tej książki, bo zwyczajnie takowych nie widzę. Po prostu: pan Jacek napisał kilka lepszych. Niezależnie od tego – polecam tę nowelkę z całego serca. Zwłaszcza jeśli ktoś ma zamiar zacząć przygodę z twórczością Dukaja i nie chce się od niej boleśnie odbić ■



ARTUR ŁUKASIEWICZ

NI PIES, NI WYDRA – CZYLI KOLEJNA OPOWIEŚĆ O ARTHURZE FLECKU

Parę lat temu w „Informatorku” ośmieliłem się popęlić recenzję filmu *Joker*, w której jednoznacznie stwierdziłem, że reżyser powinien w ogóle wyrzucić wszelkie odnoszące się do Uniwersum Batmana wstawki, gdyż one niczemu nie służą, a jedynie zamulają fabułę. Dobrą, pachnącą kinem wczesnych lat 70. fabułę, w której jest jakaś myśl, a nie tylko brzęcząca gotówka. Ośmieliłem się nawet wyobrazić sobie spotkanie Arthura Flecka z Travisem Bricklem w nowojorskiej taksówce. Oczywiście zrobiłem to przewrotnie – gdyż Arthur spotkał Roberta De Niro; ba, nawet go zabił, w czym widziałbym dość ironiczną myśl reżysera sugerującą zabójcze następstwo i symboliczne przejęcie pałeczki. Film, jeśli przyjąć za dobrą monetę wątek komiksowy (który, powtórzę to po raz drugi, był dla mnie zbędny), stał się idealną podbudową do tego, by Arthur stał się złowieszczym, rozchichotany mordercą.

Pierwszy film nie wyjaśniał wszystkiego do końca – ale sam w sobie był historią zamkniętą i nie potrzebował jednoznacznej kontynuacji. Ale już chyba kilka tygodni po premierze można było przeczytać, że takowa będzie.

No i właśnie jest.

W zalewie recenzji odsądzających rzeczoną kontynuację od czci i wiary oraz tych, w których wszystkich piszących o klapie uznaje się za półgłówek nierozumiejących *Wielkiego Dzieła* – człowiek może się pogubić i skołować do szczytu. Ja zaś stanę nieco pośrodku.



Zacznijmy od przeciwników. Racja. Po tym, co zaserwował Todd Phillips w pierwszej części i dużych oczekiwaniach – narracja i sposób przedstawienia bohatera *Jokera* (powinno raczej napisać brak odniesień do *Jokera*!) może wkurzyć. Quasi-musicalowa śpiewogra zamiast eskalacji przemocy. *Joker* to nie *Joker* – ale jakiś, rzecz by można politycznie, wydymany miękiszon, który załamuje się, zamiast dopieć strażnikom tak, jakby to zrobił prawdziwy psychopata. Ba! A na koniec pozbawiona sensu śmierć. Aż się chce wyjść z kina i, podobno, byli tacy, co wychodzili. No dobra, krzyżyk na drogę. Jeśli ktoś oczekiwał komiksu, czegoś na kształt *Jokera* Heatha Ledgera szalonego, ale prawdziwego (paradoksalnie: ten *Joker* też nie był powiązany z komiksem – był zbyt rzeczywisty, zbyt ponury, by móc go takim określić w komiksie) – to zawiódł się na całej linii. Trudno uwierzyć, że Arthur Fleck



Joker: Folie à Deux, reż. Todd Phillips, USA 2024

byłby w stanie do tego dojrzeć, gdyż to nie ten kaliber osobowości. Dotyczy to nawet kilkuminutowej sekwencji w sądzie; zresztą szybko zduszonej, by tylko nie podniosła nikomu ciśnienia. Mały, krwawy wybuch – i tyle. Tak, to wszystko może mocno skonfundować tych, którzy oczekiwali jakichś spektakularnych fajerwerków.

I ten nieszczęsny pomysł, by zrobić z tego filmu musical. Nie mam nic do musicali – choć to chyba najbardziej skostniały już dziś gatunek filmu, niczym opera w teatrze wypełniona konwencjami – jednak jeśli w jakiś sposób songi posuwają fabułę naprzód. Tu zaś muzyka stanowi coś w rodzaju obrazu stanu ducha naszego bohatera, zachowując klasyczne i zgrane do cna motywy: wspólny taniec, fortepian, czułe spojrzenia i papierosowy dym. A nawet podświetlana droga, którą podąża nasz bohater. Przez moment podejrzewałem, że w chwili śmierci Arthur wykona jeszcze kilkuminutową arię, ale oszczędzono nam tego. Wykonano zaledwie dwuminutowy utwór – i wreszcie nasz bohater mógł skończyć.

I naprawdę, Lady Gaga jako seksualny obiekt westchnień? Nie wierzę w tę postać, absolutnie – jej motywacja jest zbyt zwichrowana, by brać ją na serio. Emocjonalnie rozwichrzona czternastolatka ma więcej rozumu niż ta w końcu dojrzała kobieta. Aktorsko też jest mocno słabowicie, gdyż najlepiej wychodzą sekwencje śpiewane (bo piosenkarka jest i basta!). Nie odmawiam jej umiejętności, jako że udało się jej zabłysnąć w *Domu Guccich*; ale tamta rola była po prostu bliska jej charakterologicznie, niżli wymagająca aktorskich ćwiczeń.

A teraz trochę pochwalmy.

Wracając do mojej recenzji z pierwszego filmu. Im mniej komiksu w tym filmie – tym lepiej; w drugim filmie nie mamy już komiksowego uniwersum DC w ogóle. Mamy Arkham, lecz to nie miejsce odpoczynku dla szaleńców, a raczej po prostu ciężkie więzienie. Mamy Harveya Denta, jednak ograniczonego jedynie do roli oskarżyciela w procesie. Słowo Gotham pada chyba dopiero pod koniec filmu w scenie po zamachu w sądzie, choć mogłem

to przegapić. Wszystko to biorę za dobrą monetę.

Bo czym jest część druga historii Arthura Flecka? Opowieścią o antybohaterze: człowieku, który – przytłoczony tym, co zrobił – zostaje odpowiednio uformowany i „wtłoczony na siłę” w kostium niepoczytalnego i zmuszonego, by odgrywać kogoś, kim nie jest. Ucieka w świat własnych imaginacji, żeby w końcu na parę minut poddać się „fali” i popłynąć. Wracając jednak do rzeczywistości gotów stawiać jej czoła – co kończy się dla niego tragicznie.

Jestem tylko domorośłym psychologiem, ale ja tu widzę objawy choroby dwubiegunowej. Nieszczęście, nieszczęście, coraz więcej problemów, wybuch, euforia, nadludzkie moce. Szybki powrót do rzeczywistości, depresja, pasmo nieszczęść – po czym znów wybuch euforii i szybkie załamanie.

Oderwijmy ten film od korzeni, wyrzućmy całe Gotham i samego Jokera z tej historii (30–40 minut w części pierwszej), wywalmy Gagę i śpiewogrę. Zachowajmy, a nawet bardziej podkreślmy, medialne szaleństwo na punkcie „Błazna” i szaleństwo jego samego. Zachowajmy nawet załamanie Arthura i końcową śmierć. Podkreślmy oczywiste nawiązania do twórczości kilku mistrzów kina z lat siedemdziesiątych. Wtedy, nawet jeśli całość będzie trwała ponad trzy godziny, otrzymamy idealną historię wprost na worek Oscarów.

Teraz zaś mamy idealną kwintesencję powiedzenia: *Ni pies, ni wydra – a coś na kształt świda!*

W dodatku mam wrażenie, że poprzez ten film doszło przy okazji do zakatrupienia całego Uniwersum DC. Warnerowi już nikt nie uwierzy w to, że uraczy nas dobrą komiksową historią. Zresztą, uczciwie mówiąc, cała ta franczyza się w tym wypadku nie sprawdza – więc dałbym sobie z nią spokój ■





TOMASZ „QRATOR” MAGULSKI
SZARAK NA GIGANCIE

Całkiem przypadkiem obejrzałem fajną i zabawną komedię SF. Co ważne – nie jest to żadna wysoko-budżetowa amerykańska produkcja, z której wylewają się niskich lotów dowcipy i prymitywna parodia gatunku, tylko produkcja ze smakiem i inteligentnym dowcipem. Czasem sytuacyjnym, czasem słownym, a to wszystko podlane dużą dawką autoironii oraz aluzjami do ludzi i środowiska fanów SF, jak też do całej masy kultowych produkcji filmowych. Wyszło z tego proste, lecz smaczne danie. Dość powiedzieć, że podczas oglądania kilka razy serdecznie się uśmiełem.

Film **Paul** ma trzech głównych bohaterów. Najpierw poznajemy dwójkę przyjaciół, którymi są: Graeme Willy (Simon Pegg) i Clive Gollings (Nick Frost). Mężczyźni są rodowitymi Brytyjczykami i kumplami od wczesnych czasów szkolnych. Fundamentem ich przyjaźni jest zamiłowanie do „obcych” i do komiksów. Uwielbiają wszystko, co traktujące o kosmitach i latających spodkach. Sami zresztą próbują swoich sił w tej branży. Graeme jest rysownikiem amatorem, a Clive to początkujący pisarz. Obaj fascynują się także informacjami o kontakcie ludzi z kosmitami: Strefa 51, katastrofa w Roswell, tajne bazy rządu USA i eksperymenty na kosmitach. Ich marzeniem była wyprawa do Stanów Zjednoczonych, aby wyruszyć szlakiem tych tajemniczych wydarzeń. Wreszcie nadarzyła się ku temu znakomita okazja. Obaj oszczędzili trochę gotówki. Postanowili więc spełnić swoje dwa wielkie marzenia: polecieć do Kalifornii na ComicCon, a potem wynająć kamper i ruszyć szlakiem spotkań z istotami pozaziemskimi przez południowe stany USA.

Podróż kamperem szła świetnie – aż do momentu, gdy znaleźli się w okolicy Strefy 51. Jadąc nocą opustoszałą pustynną drogą, byli świadkami dziwnego wypadku. Poruszający się z dużą prędkością samochód osobowy na ich oczach wypadł z drogi, kilkakrotnie prze-koziółkował i utknął w piaskowej zaspie. Obaj

mężczyźni ruszyli na pomoc. Spodziewali się znaleźć rannego kierowcę i ewentualnie jakichś pasażerów – ale nic z tego. Z wraku samochodu wyszedł do nich klasyczny „szarak”: kosmita wzrostu niedużego dziecka, o szarej skórze, nieproporcjonalnie dużej głowie i ogromnych czarnych oczach w kształcie migdałów. „Szarak” miał na sobie krótkie spodnie typu bojówki, a na stopach klapki. W ten sposób dwaj „Brytole” poznali na pustyni w Nowadzie (USA) „obcego” o imieniu Paul. Napisać, że obaj mężczyźni byli w szoku, to nic nie napisać.

Od słowa do słowa – okazało się że Paul znakomicie mówi po angielsku, a Greame i Clive dali się przekonać kosmicie do współpracy. Chodziło o pomoc w dotarciu Paula w sekretne miejsce, skąd jego kumple (kosmici) i zabiorą go domu. Operację trzeba przeprowadzić dyskretnie, gdyż (jak się okazało) Paul uciekł z pilnie strzeżonego więzienia ze Strefy 51, w którym był przetrzymywany przez kilkadziesiąt lat. Oczywiście jest, że w takiej sytuacji ruszy za nim pościg.

Oglądamy zatem podróż trójki niezwykłych bohaterów, którzy przemierzając amerykańskie bezdroża, zaczynają się poznawać i wspólnie przeżywają masę zabawnych i zarazem niebezpiecznych przygód. Mamy więc film drogi, w którym nasi bohaterowie spotykają wielu typowych przedstawicieli lokalnych społeczności. Jest np. tajny agent ze

Strefy 51 ścigający Paula, agenci CIA włączeni do sprawy, typowe wsiaki (*rednecks*) z głębokiej amerykańskiej prowincji, fundamentaliści chrześcijańscy nawracający za pomocą dwururki, amerykańska drogówka itd. Bohaterowie trafiają też w różne ciekawe miejsca, takie jak np. sklepik z ufologicznymi pamiątkami, camping dla kamperów, prowincjonalne miasteczko, wiejska tancbuda. Już samo zderzenie kultur – prostych, bezpośrednich, a czasami prostackich Amerykanów z kulturalnymi Anglikami – niesie ze sobą duży potencjał komiczny. W filmie mamy dodatkowo kosmitę, który daje całej akcji niezły dopalacz.

Kolejne przygody oraz przejeżdżane kilometry całej trójki ogląda się z dużą przyjemnością i rozbawieniem. Duża w tym zasługa Paula, który jest kosmitą... jedynym w swoim rodzaju. Szczegółów nie zdradzę, bo to popsułoby zabawę z oglądania filmu. Mogę powiedzieć jedynie tyle, że Paul skojarzył mi się z najaranym skrętami podstarzałym, wyluzowanym hipisem, o specyficznej filozofii życiowej. Dodatkowo, posiada on kilka niezwykłych zdolności oraz dysponuje wiedzą znacznie przewyższającą wiedzę ludzką. Paul, jak przystało na wyluzowanego gościa, nie epatuje jednak tą wiedzą. Nie daje odczuć, że jest kimś lepszym, choć czasem bywa nieco przemądrzały i sarkastyczny. W gruncie rzeczy to fajny gość o niecodziennym wyglądzie.

Wiadomo, że każda podróż kiedyś się kończy. Tak i nasi bohaterowie, po wielu perypetiach, docierają do miejsca, które wskazał im Paul. Miejsca, w którym dojdzie do... całego szeregu nieoczywistych zdarzeń.

Film spodobał mi się z jeszcze jednego powodu. Otóż scenarzyści i reżyser postarali się o umieszczenie w swoim obrazie mnóstwa nawiązań, parafraz i sugestii do wielu wybitnych lub popularnych dzieł SF – filmów, seriali, powieści, komiksów. Wyłapywanie tych



Paul; reż. Greg Mottola; USA, Wielka Brytania 2011

smaczków było dla mnie dodatkową frajdą. Twórcy filmu chętnie bawią się taki odniesieniami. Robią to jednak subtelnie i sprytnie. Nie jest to parodia. Dam może jeden przykład.

Jest w filmie scena, w której nasi bohaterowie trafiają późnym wieczorem do wiejskiego lokalu, w którym odbywa się weekendowa potańcówka z wyszynkiem. Mniej więcej do takiego, jaki można było zobaczyć w filmie *Wykidajło* z Patrickiem Swayze (ang. *Road House*). Lokal pełen ludzi, zabawa trwa, przygrywa wiejska orkiestra. Niby nic, ale melodia skądś mi znana. Po chwili zastanowienia rozpoznaję ją. To przerobiona na wersję country muzyka, jaką grała kapela kosmitów w *Star Wars: Nowa nadzieja* w scenie, gdy Luke i Obi-Wan przybyli do kantyny w stacji kosmicznej Mos Eisley! Tego typu „smaczków” oraz wiele innych bystre oko i ucho fana SF znajdzie w filmie całkiem sporo.

Paul to ponad półtorej godziny fajnej zabawy. To lekka, wciągająca i śmieszna komedia SF o szalonej wycieczce dwóch ludzi i kosmity. Wspólne przeżycia zbliżają do siebie Paula, Greame’a i Clive’a – odmieniając życie każdego z nich ■

Paul (2011 r.), platforma SkyShowtime

TOMASZ „QRATOR” MAGULSKI HEROS NA EMERYTURZE

Sylvester Stallone w roli superbohatera? Nieważne, że emerytowanego. Uznałem, że taki film trzeba zobaczyć. Popularny Sly kojarzy mi się przede wszystkim z kinem akcji, gdzie wykreował kilku nieśmiertelnych bohaterów. Obecnie ma już grubo ponad 70 lat. Czy dał radę? W zasadzie tak.

Samarytanin to film o trzynastoletnim chłopcu z rozbitej rodziny, którego idolem jest jeden z dwóch bliźniaków-herosów. Bracia posiadali ponadprzeciętną siłę i umiejętności. Z czasem jeden z nich, nazywany Samarytaninem, postanowił wykorzystywać swoje umiejętności dla dobra ludzi, a drugi, zwany Nemezis, dostrzegając niskie pobudki i zło tkwiące w wielu ludziach, postanowił uwalniać społeczeństwo od (w jego mniemaniu) amoralnych jednostek. To doprowadziło do rodzinnego konfliktu. Paradoksem jest to, że bracia dążyli do tego samego – chcieli wprowadzić ład, porządek i sprawiedliwość. Tyle tylko, że każdy z nich inaczej je rozumiał.

Bracia darzyli się coraz większą niechęcią. Aby definitywnie pokonać bliźniaka, Nemezis wykuł specjalny młot, w który wlał całą swoją

nienawiść i złość. Za jego pomocą chciał pokonać Samarytanina. Do ostatecznej rozgrywki pomiędzy braćmi doszło na terenie elektrowni. W trakcie morderczej walki nastąpiła eksplozja, w której obaj zginęli. Tak przynajmniej brzmi wersja oficjalna, od 25 lat funkcjonująca w Granite City.

Pamięć o superbohaterach pozostała. Po latach zaczęły pojawiać się pogłoski, że Samarytanin jednak przeżył. W te plotki mocno wierzy trzynastoletni Sam Cleary (Javon „Wanna” Walton). Chłopak mieszka wraz z matką w czynszowej kamienicy na przedmieściach. Okolice jest pełna szemranych indywiduów. Ojciec chłopaka nie żyje, a matka Tiffany (Dascha Polanco) pracuje na państwowej posiadzie w służbie zdrowia, ledwie wiążąc koniec z końcem. Oboje cierpią na chroniczny brak gotówki,



Samarytanin; reż. Bragi F. Schut; USA 2022

przez co wisi nad nimi widmo eksmisji. Sam ma niewielu kumpli – a i ci, których ma, to cwaniaki i drobni złodziejaskowie, dla których szczytem marzeń jest uzyskanie członkostwa w poważnym gangu. Ogólnie atmosfera w dzielnicy (a w zasadzie w całym mieście) jest szara, nieciekawa i mało perspektywiczna. Dominuje przestępczość, gangi i korupcja, z którą władze sobie nie radzą. Nic dziwnego, że w takich warunkach pragnienie powrotu szlachetnego herosa trafia na bardzo podatny grunt.

Sam obsesyjnie tropi wszelkie wzmianki medialne o Samarytaninie. Zbiera wycinki prasowe, śledzi newsy telewizyjne, słucha plotek. Wierzy, że jego superbohater żyje. Za wszelką cenę chce go odnaleźć. Po wielu nieudanych próbach zaczyna podejrzewać, że mieszkający w kamienicy obok stary śmieciarz Joe Smith (Sylvester Stallone) jest ukrywającym się Samarytaninem. Chłopak za wszelką cenę próbuje zbliżyć się do mężczyzny. Kiedy Joe bez problemu i w spektakularny sposób ratuje go przed opryszkami – Sam jest przekonany, że odnalazł Samarytanina.

Film ma specyficzny klimat. Wszystko jest w nim zimne i bure. Kojarzy mi się to z Gotham City. I tam i tu ludzie czekają na superbohatera, który pomoże im w walce ze złem. O ile jednak w Gotham żyje milioner-filantrop, który postanawia w przebraniu nietoperza nieść pomoc – to w Granite City żyje wspomnienie o braciach-bliźniakach o nadludzkich umiejętnościach, którzy reprezentowali dobrą i złą stronę ludzkości. Żyje też nadzieja, że Samarytanin przeżył i że jeszcze powróci.

W filmie na pierwszy plan wybijają się dwa wątki. Pierwszy to młodzieńczy dylemat wyboru ścieżki życiowej. Czy trzymać się ideałów, wzorując się na pozytywnym superbohaterze, czy może wejść w szarą strefę, w której czekają duże pieniądze w zamian za dołączenie do przestępczej szajki. O tym musi zdecydować Sam.

Drugi wątek to rozważanie o istocie dobra i zła. Im więcej szczegółów z przeszłości Samarytanina i Nemezis nam się ujawnia, tym bardziej widać, że nic nie jest idealnie czarno-białe. Bo, jak powiedział w jednej ze scen Joe Smith, w każdym z nas tkwi zarówno dobro, jak i zło. Od nas zależy, co wybierzemy i jak będziemy żyć.

Oczywiście *Samarytanin* to nie moralitet. Owszem, widzimy rozterki moralne bohaterów, ale mamy też trochę kina akcji. Jak w filmie o superbohaterze – musi się on nam w końcu objawić i stoczyć walkę ze złem. Mamy więc kilka widowiskowych scen. Mogłoby ich być więcej. Tu czuję pewien niedosyt.

Mam wrażenie, że film złożony jest ze sprawdzonych elementów, skutecznie funkcjonujących w popularnym kinie akcji, które kierowane jest do widza 12+. Scenarzysta i reżyser sięgnęli po nie i upichcili z nich danie może niezbyt wykwintne i nieoszałamiające naszych kubków smakowych – ale jednak proste, smaczne i pożywne. Otrzymaliśmy solidny fastfood, z kilkoma ciekawymi dodatkami. Posiłek, który nie nadaje się do świątecznej celebracji, ale taki, który jest schłodnie podany i syci.

W związku z tym – akcja filmu jest raczej przewidywalna. Brakuje zaskakujących zwrotów czy niespodziewanych zdarzeń. Na szczęście nie jest monotonnie. No i na koniec mamy kilka niespodzianek w myśl zasady: nie zawsze wszyscy bohaterowie okazują się dokładnie tymi, za kogo ich bierzemy.

Samarytanin to nie jest wybitne dzieło. To solidne rzemiosło, porządnie zrealizowane, lecz nic ponad to. Niewątpliwie nazwisko Stallone przyciąga uwagę. Wydaje mi się, że popularny Sly dobrze poradził sobie z rolą. Z uwagi na swój wiek i aparycję wypadł wiarygodnie. Nuda podczas oglądania raczej nam nie grozi ■

Samarytanin (2022), platforma MAX



YARKOS 2024

rys. Jarosław S. Kosiorek (Yarkos)



ANDRZEJ PRÓSZYŃSKI
GDZIE JEST NEMO?

Nie, tu nie chodzi o sympatyczną rybkę, dobrze znaną z pamiętnej animacji. W tym filmie (*Superstition*, 2023) Nemo to mały chłopiec, który wraz ze swoimi duńskimi rodzicami wyjechał do szwedzkiej głuszy na coś w rodzaju rodzinnego resetu. Pomysł, który wydaje się świetny do momentu, gdy uświadomisz sobie, że dokądkolwiek pojedziesz, zawsze ze sobą zabierasz samego siebie. Jak mówi reżyserka (po uwzględnieniu pochodzących ode mnie skrótów):

Historia zaczyna się od pytania, co się stanie, jeśli zostawimy wszystko za sobą. Z moim scenarzystą doszliśmy do wniosku, że najgorsza rzecz, która może nam się zdarzyć, to spotkanie z samym sobą. Na początku myśłami byliśmy przy niepokojącym dramacie psychologicznym, który dopiero później przekształcił się w coś jak science fiction.

Wspomniane przekształcenie polega na dosłownym potraktowaniu pomysłu o spotkaniu ze sobą, a precyzyjniej mówiąc – ze swoim sobowtorem. Co zresztą, jak by nie było, jest także przenośnią.

Choć rodzina Nemo zawarła umowę na całkowite bezludzie wokół leśnego domku nad

jeziorem – od czasu do czasu na drugim brzegu bądź w lesie widać jakieś ludzkie sylwetki. Gdy matka oddała się od malca na chwilę, by przyrzec się jednej z nich, chłopiec znika, a później odnajduje się w całkiem innym miejscu i w innym nastroju, oświadczając, że kobieta nie jest jego prawdziwą mamą. Wygląda więc na to, że to nie Nemo, tylko jego sobowtór.

No właśnie. A gdy wreszcie dochodzi do nieuchronnego spotkania z rodziną sobowtórów, ta konfiskuje chłopca jako ich prawowitą własność. A przecież z drugiej strony wszyscy zdają sobie sprawę, że gdzieś tam jest inny Nemo. Czy ktoś go szuka lub choćby zadaje sobie pytanie będące tytułem tego tekstu? Otóż nie. To tylko rekwizyt, atrybut dobrze funkcjonującej rodziny. Jak widać, jego imię (Nikt) zostało prawidłowo wybrane.

Jeśli zaś chodzi o dwie bliźniacze pary, ich stosunek do siebie przechodzi różne fazy – od wrogości po życzliwe zainteresowanie, a nawet zauroczenie (sobowtór jest niby znany, ale jakby inny, czyli interesujący). A co w rezultacie z tego wynikło, proponuję zobaczyć samemu, bo niewątpliwie warto.



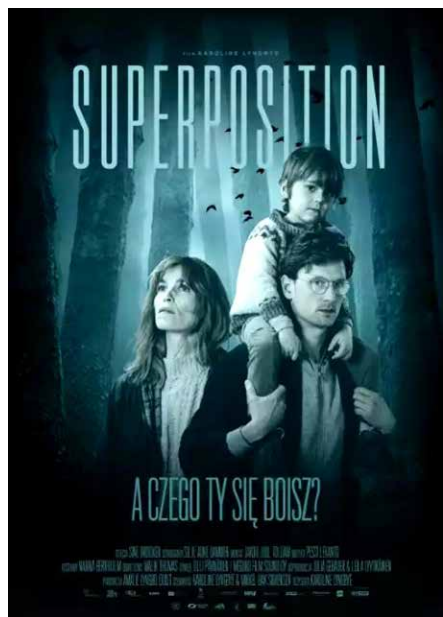
Superposition, reż. Karoline Lyngbye, Dania 2023

No to jeszcze pomówmy o tytule, czyli po polsku superpozycji. Słowo to ma różne znaczenia, ale ogólnie rzecz biorąc oznacza sytuację, kiedy dwie rzeczy nakładają się na siebie. Tu jedna z postaci wyraża przekonanie, że chodzi o dwie równoległe rzeczywistości, które jakoś się zetknęły. Ja jednak podejrzewam, że bliższe materii filmu jest znaczenie, które ten termin ma w teorii kwantów. Otóż cząstka subatomowa może przebywać jednocześnie w dwóch różnych stanach (więc jakby w dwóch egzemplarzach), ewentualnie wpływając tym na obiekty makroskopowe (jak w przypadku kota Schrödingera, który jest jednocześnie żywy i martwy, dopóki ktoś nie zajrzy do skrzynki). Okazuje się, że sytuacja, kiedy obie filmowe pary są żywe, jest możliwa

tylko w metaforycznym pudełku, którym jest otaczający je rejon leśnej głuszy. Żeby zaś go opuścić, a tym samym dopuścić obserwację, należy najpierw wyeliminować nadmiarowe egzemplarze; czyli prewencyjnie, w imieniu Obserwatora, dokonać eksterminacji duplikatów. Kto zaś zginął, a kto ocalał, należy już zaobserwować samemu – tym bardziej że nie jest to do końca oczywiste. Jeśli, rzecz jasna, nie brać pod uwagę sobowtóra imieniem Nemo, który najwyraźniej pozostał w jedynym żyjącym egzemplarzu.

No i proszę, jaka zakręcona wyszła mi interpretacja filmu. *Czy leci z nami pilot? Spokojnie, to tylko awaria / przenosińa*, tak samo dobra, jak każda inna.

Temat sobowtórów pojawił się w tej rubryce już dwukrotnie: raz przy okazji filmu *Impostor* („Info” 354), gdzie przypadek duplikacji był jednostkowy (choć dotyczył też małego chłopca) i ponownie przy omawianiu filmu *To my* („Info” 387), gdzie podwojenie było totalne. *Superposition* sytuuje się gdzieś pomiędzy tymi skrajnościami, co wydaje się dobrze wyważonym złotym środkiem. Film jest według mnie zdecydowanie wart obejrzenia ■



Superposition, Dania 2023

ocena FilmWeb: 5,7, IMDb: 6,1

reżyseria: Karoline Lyngbye

scenariusz: Karoline Lyngbye, Mikkel Bak Sørensen

czas: 1 godz. 42 min.

Obsada (na plakacie):

Marie Bach Hansen (Stine, ocena 6,7)

Mikkel Boe Følsgaard (Teit, 6,6)

Mihlo Olsen (Nemo, 5,8)

ANTROPOFOBIA COMIX BY JPP*

ASTRONAUTA Z MARJAŃSKIEJ
BAZY PROWADZI NOCNE OBSER-
WACJE I POMIARY...



...WTEM!

PAC!



O ŚWICIE



CHOLERA!
TO JUŻ TRZECI CZŁONEK
NASZEJ ZAŁOGI...
CO TU SIĘ DZIEJE?

W TYM SAMYM CZASIE
POD POWIERZCHNIĄ
CZWARTEJ PLANETY...



SYNU,
DLACZEGO TAK
ZAPALCZYWIE ROZDE-
PTUJESZ TE BIE-
DNE ISTOTY?

ONE SĄ TAK OHYDNE
Z TYMI SWOIMI CZTERE-
MA KRÓTKIMI KOŃCZY-
NAM!

